Nr. 3. Rok IV.

DZIENNIK DLA WSZYSTKICH

CZASOPISMO ILLUSTROWANE WYCHODZI TRZY RAZY Lwów, 20. Stycznia 1881. NA MIESIĄC: 1, 10 i 20 każdego miesiąca

Prenumerata wynosi we Lwowie:		Na prowincji (z przesyłką pocztową):	
rocznie	9 zł. — ct.	rocznie	10 zł. 20 ct.
półrocznie	4 „ 50 „	półrocznie	5 „ 10 „
kwartalnie	2 „ 25 „	kwartalnie	2 „ 55 „
miesięcznie	— „ 75 „	miesięcznie	„ 85 „

W Poznańskiem i Prusach 5 marek kwartalnie. — We Francji i we wszystkich innych krajach 6 fr. kwartalnie, które przesłać należy przekazami pocztowymi.

Z Poznańskiego i Prus można przesełać prenumeratę przekazami pocztowymi.

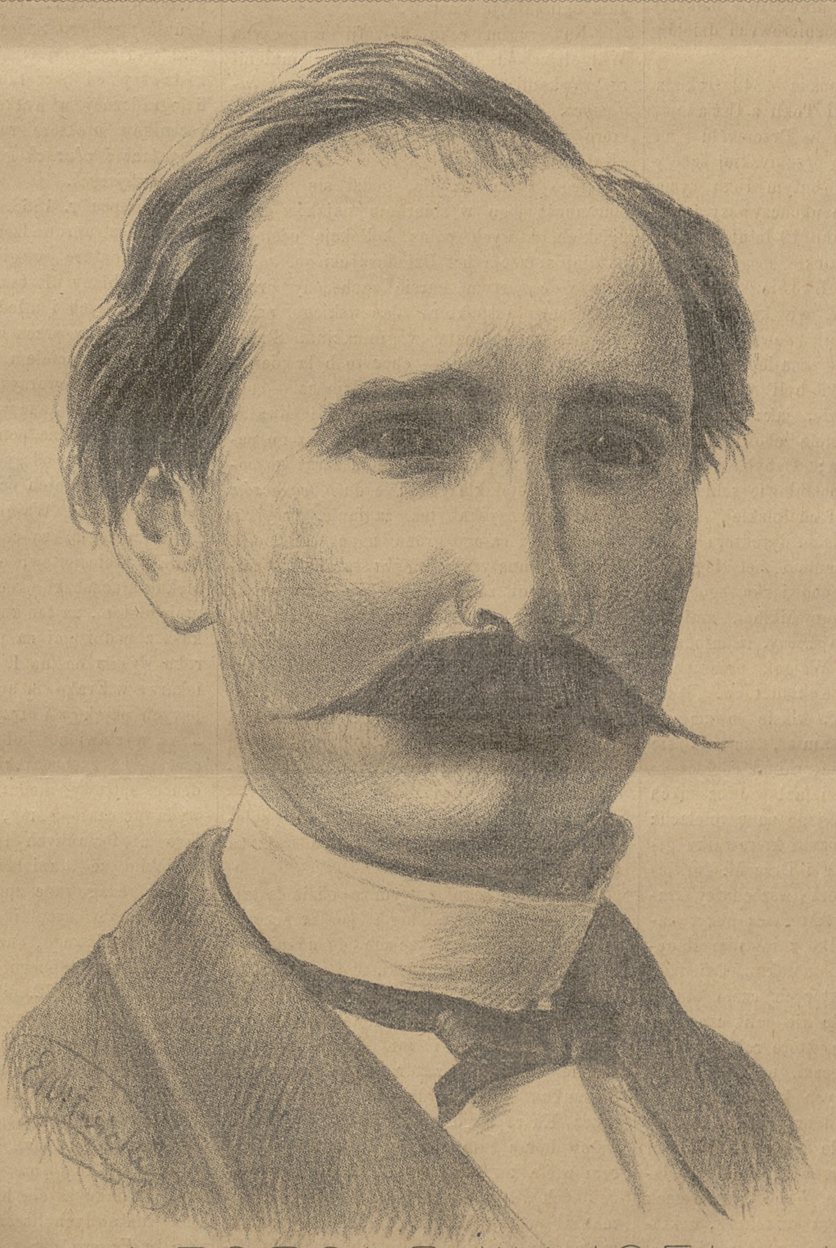
Numer pojedynczy 30 ct.

Za ogłoszenia opłaca się 8 ct. za wiersz drobnem pismem, lub za jego miejsce. Opłata od ogłoszeń większych stosownie do umowy.

Redakcja i Administracja **Dziennika dla Wszystkich** przy ulicy Rzeźbiarskiej Nr. 1. A (Łyczaków), gdzie się przyjmuje prenumeratę i ogłoszenia. Prenumeratę z prowincji i z innych krajów przesełać należy przekazami pocztowymi franco pod adresem: Do Administracji **Dziennika dla Wszystkich we Lwowie.** — Listy powinny być frankowane.

Za granicą ogłoszenia przyjmują: w Wiedniu: Haasenstein et Vogler Wallfischgasse-A. Oppellik Stubenbastei 2; Rotter et Comp. I. Riemergasse 13; Daube et Comp. Maximilian, strasse 3: w Frankfurcie n. M., Berlinie, Wrocławiu, Humburgu, Brunświku i w Szwajcarji; Haasenstein et Vogler; w Paryżu: ajencja p. Adamu rue Clément 4; w Peszcie: ajencja ogłoszeń Langa.

Właściciel i naczelnie kierujący częścią literacką i administracyjną: M. D. Chamski.



LEOPOLD WAJGEL.

Patrz życiorys w dziale *Kroniki krajowej* zamieszczony.

(Rysowane podług zagranicznej fotografji.)

Kronika krajowa.

Leopold Wajgel. Ktokolwiek choć krótki czas spędził na Pokuciu, lub przejeżdżał tamtędy, usłyszał z pewnością nazwisko męża, który jest duszą wszystkich usiłowań, podjętych w patrjotycznych, obywatelskich, nauczycielskich, naukowych i towarzyskich celach. Imię *L. Wajgla* wiąże się tak ściśle z ostatnim dziesiątkiem lat Pokucia, że my, którzyśmy tylko w dwuleciu zbliska jego przypatrzyli się działalności, poczuwamy się poniekąd do obowiązku moralnego, podać w krótkości rys życia i czynów na każdem polu tego obywateta.

Leopold Wajgel pochodzi, jak samo brzmienie cudzoziemskie powiada, z rodziny niemieckiej, osiadłej od dawna w naszym kraju i zapisanej, jako prawdziwie polskiej chlubnie na kartach porozbiorowych dziejów ojczystych.

Urodził się 8. listopada 1842. roku z ojca Franciszka, a matki Tekli z Ustjanowskich, właścicieli domu w Przemyślu „na Władyczu.“ Chodził do przemyskiej szkoły normalnej, którą w dziesiątym roku życia ukończył, aby następnie ukończywszy ją ze stopniem celującym, jako 12-letni student zapisać się do akademickiego gimnazjum (dzisiaj ruskiego) we Lwowie. Jakie to były czasy dla polskości, wie każdy dokładnie; manja germanizacji z pewną dozą rusynizmu kwitła wówczas w najlepsze, reprezentantami tego kierunku byli w tym zakładzie tacy dyrektorowie, jak: Bruger, i Tschörch, tacy nauczyciele obowiązkowego rzekomo-ruskiego języka: Cybyk, Popiel i t. p., głośni później apostołowie schizmy i moskwicyzmu w dyecezji chełmskiej. Z nastaniem jednak zacnego ś. p. dyrektora Piątkowskiego i z przywróceniem polskiego języka, jako przedmiotu obowiązkowego z ś. p. Łazowskim, jako kierownikiem, zmienił się o tyle na lepszy stan rzeczy, iż młodzież polska, a wraz z nią i Wajgel, przerzuciła się gremialnie na polski wykład t. zw. „Muttersprache.“ Już w IV. klasie powziął on nieprzeparty niczem zamiar, uczenia się na profesora historji naturalnej, do czego szczególniejszą zachętę znalazł w ówczesnych miłośnikach przyrody i jego nauczycielach: ś. p. Płachetce (późniejszym kierowniku gimnazjum złoczowskiego) i Drze M. Nowickim dzisiejszym profesorze wszechnicy krakowskiej. Tu od V. klasy zacząwszy, zawiązało się tajemne kółko z rownomyślącymi kolegami, jak: M. Łomnickim, Dziedzielewiczem i t. d., na których czele stanął nasz Leopold, lecz wcale nie polityczne, ale kółko czysto studenckie, które robiło razem krótsze i dłuższe wycieczki, udzielało sobie odpowiednich i fachowych książek zastanowiało się badawczo nad przyrodą i marzyło..., że kiedyś szczupłe kółko przekształci się w wielkie towarzystwo i zacznie wydawać pismo przyrodnicze. Luby ten stosunek prawdziwego koleżeństwa studentów, o którym dzisiaj i nie słychać, trwał aż do złożenia w r. 1864. egzaminu dojrzałości, potem węzeł sympatji, wiążący to grono młodych wielbicieli natury wprawdzie nie ustał, ale zmusił każdego członka, do samodzielnych studjów, do pracy na chleb...

Wajgel, wierny swemu przedsięwzięciu, zapisał się na wydział filozoficzny we Lwowie i to na nauki matematyczno-przyrodnicze, chociaż z zamiłowaniem słuchał słynnych wykładów polskiej literatury Dra Antoniego Małeckiego. Tu na uniwersytecie zaprzyjaźnił się z ówczesnym profesorem botaniki Weissem i prof. mineralogji Zirklem; obaj lubili i cenili młodego słuchacza dla jego pilności i zamiłowania przedmiotu.

Prócz tego zachęcająco wpływał na innych kolegów namawiając ich, aby specjalnie uprawiali pole przyrodnicze; dość powiedzieć, że swego kolegę Kreutza przedstawił Zirklowi, po którego ustąpieniu, objął zaszczytnie tę katedrę dr. Kreutz i do dziś dnia chlubnie ją piastuje.

Na drugim roku filozofji rozpoczyna Wajgel zawód literacki najpierw małemi rozprawkami: *O baśniach i podaniach ludowych, tyczących się gadów i płazów*, — które wychodzące w Krakowie czasopismo „Kalina“ pomieściło. Z tego czasu akademickiego życia Wajgla, godzi się zapisać staranność jego w zbieraniu pająków galicyjskich, których pełną kollekcją odstąpił później muzeum hr. Dzieduszyckiego.

W czwartym kursie zachęcony przez ówczesnego inspektora Janowskiego, przyjął miejsce suplenta w gimnazjum Stanisławowskiem, gdzie — choć to była pierwsza posada 23-letniego młodzieńca — potrafił sobie zaraz zjednać miłość i poważanie nie tylko u młodzieży, od naszego pedagoga starszej (został bowiem zaraz gospodarzem szóstej klasy, gdzie dużo *wąsaczów* było), ale pozyskał też zaufanie, przyjaźń dyrektora i całego grona nauczycielskiego. Młody i sympatyczny *koleżka* starał się wszelkiemi siłami zatrzeć panującą tu wówczas dysharmonią w nauczycielskiem kółku, do którego wchodziły (dziś szczęśliwie rozprószone) takie różnolite, spokojne i palne żywioły, jak: dyr. Kruszyński, ks. Barewicz, ks. Szankowski, prof. Zipser, Ławrowski i t. p. Jeśli więc w przeciągu pół roku pobytu w Stanisławowie po części udało się młodziutkiemu Wajglowi zgodę na zewnątrz — niestety chwilowo — przywrócić, to pojednawcze dzieło zasługuje bądź co bądź na wymienienie.

Żądza dalszego w swym zawodzie kształcenia się skłoniła Wajgla po skończeniu kursu i szkolnych wakacjach do udania się na uniwersytet wiedeński, gdzie wkrótce własną pracą zjednał sobie względy ś. p. prof. zoologji Knera, posunięte do tak serdecznego stosunku, iż inni słuchacze (przeważnie niemcy) z zazdrością nań patrzyli. Stosunkom tym zawdzięcza wyrobione mu przez Knera rządowego stypedjum i wolny wstęp do muzeum cesarskiego dworu, w którem wiele korzystał przy pomocy zaprzyjaźnionych z nim adjunktów. Prof. Kner namawiał wtedy Wajgla do wzięcia udziału w podróży z Drem Steindachnerem do Hiszpanji, a potem do Ameryki, lecz zdrowie i inne okoliczności nie pozwoliły mu mimo widocznych chęci zwiedzić nowy dlań świat, aby podziwiać i studjować bujną przyrodę Zachodu. Będąc we Wiedniu został obrany członkiem tamtejszego zoologiczno-botanicznego Towarzystwa; należał też do pierwszych założycieli polskiego „Ogniska,“ zainaugurowanego dla zachęty świeżych członków powabnymi jego odczytami z historji naturalnej, na które krom zwyczajnych członków stowarzyszenia przychodzili, jako goście delegaci polscy do Rady państwa. Te odczyty (n. p. o winie, wodzie, pająkach, perłach i t. p.) drukowane po większej części w fejletonie „Gazety Narodowej“ pomieszczono później w *Wypisach dla szkół srednich*, jako rzeczywiście pouczające i w nadobną przystrojone szatę.

Prócz fachowych studjów w gabinetach, słuchał zarazem Wajgel głośnych wykładów anatomji Hyrtla, porównawczej anatomji Brühla i geologji Suessa (wraz z dzisiejszym rektorem techniki Niedźwieckim), stąd też, zostawszy od początku członkiem Komisji fizjograficznej w Krakowie, pisywał do jej roczników niektóre rozprawy, mianowicie: *o gadach i płazach galicyjskich*, i *o pająkach tutejszych.*

W lipcu r. 1868. powraca do Lwowa i obejmuje z zaprowadzeniem polskich wykładów suplenturę w gimnazjum Franciszka Józefa, lubiany dla taktu i głębokiej wiedzy przez starszych i młodszych kolegów zawodu, ubóstwiany przez młodzież, której był i ojcem i przyjacielem. Skoro w tym roku zawiązało się Towarzystwo pedagogiczne, tak ważną dziś w nauczycielstwie odgrywające rolę, urządzono na pomnożenie funduszów w poście 1869. r. odczyty dla kobiet w sali ratuszowej; w nich ochoczo bierze bezinteresowny udział Wajgiel, wykładając popularnie zoologją, za co Towarzystwo podziękowało prelegentowi osobnem uznaniem, a piękne słuchaczki wręczyły mu, jak i innym prelegentom, za ten kurs nauki, ozdobny arkusz z podpisami na pamiątkę. W tym też roku wysела on na I. zjazd przyrodników i lekarzy w Krakowie swój zasobny zbiór krajowych pająków i otrzymuje srebrny medal, a za wystawioną kolekcją owadów równocześnie na gospodarskiej wystawie w Horodence spiżowy medal. Od r. 1870. zaczął wydawać czasopismo „Przyrdnik,“ marzenie jego młodocianych lat, wraz z prof. Łomnickim ze Stanisławowa, które to pismo dobrze redagowane zjednało sobie niebawem szersze koło czytelników i subwencją Wydziału krajowego, uznającego użyteczność takiego przystępnego dla ogółu, pisemka. Lecz już w r. 1872. po złożeniu przepisanych egzaminów, mianowany nauczycielem gimnazjalnym, przenosić się musi do Kołomyi, gdzie do dziś dnia przebywa, zmuszony z żalem oddać redakcją „Przyrodnika“ w ręce głównego w ostatnim roku współpracownika Dra Eug. Janoty, za którego w kilku miesiącach to pismo, upadło. Uwolniony od zajęć redakcyjnych, bierze się Wajgel żywo do gruntownych literackich prac: przełożył *fizykę Kauera* dla szkół wydziałowych tom I., ogłasza nakładem Seyfartha samodzielnie: *Owady szkodliwe w gospodarstwie*, a w r.

1873. w Kołomyi powszechnie ceniony: *Spis pająków galicyjskich*. O rzeczonych dziełach wyraziła się swego czasu krytyka bardzo przychylnie, dając światu uczonemu poznać młodego, mało znanego przyrodnika polskiego, chociaż nie brakło i zbyt surowych, a jednostronnych ocen.

Jeśli jednakże oddalenie się Wajgla ze stolicy naszego kraju, tego źródła materjałów do umiejętnych badań, pozbawić go musiało podstaw głównych do sławy literackiej, to z drugiej strony, zyskało w nim Pokucie pracownika, który niebawem stał się przedsiębiorczym duchem wszelakich, w różnym kierunku podjętych działaniach. — W streszczeniu wyliczymy pogląd na czynność Wajgla na Pokuciu, aby z niego poznać mógł czytelnik, jak wiele zyskała stolica i obszar Pokucia na przesiedleniu się tego ruchliwego, a prawego męża: zakłada spólnie z ś. p. Zoslem, kierownikiem gimnazjum, *wyższą szkołę żeńską* w Kołomyi, której dyrektorem mianowany przez ś. p. Gołuchowskiego prowadzi z ogólnem zadowoleniem miasta i okolicy, z chlubnem odszczególnieniem władz i Towarzystwa pedagogicznego ten zakład, zajmujący dziś wybitne na Pokuciu stanowisko wychowaniem i kształceniem młodzieży żeńskiej; piastuje od roku 1874. godność radnego miasta i powiatu kołomyjskiego z prawdziwem zaparciem się w obec tamtejszych stosunków; przekłada na język polski: *zoologję, botanikę* i *mineralogję Hellera* dla szkół wydziałowych (drukowane nakładem Hölder a we Wiedniu r. 1874.) i opracowuje starannie *Rys miasta Kołomyi* pod względem historycznym, fizjograficznym i etnograficznym, dzieło naukowe, oparte na źródłach i opracowaniach dziejowych tak, że nawet specjalny historyk z niem się liczyć musi; — wyszukuje miejsce według kroniki Marciua, gdzie niegdyś Kazimierz Jagiellończyk odbierał hołd poddańczy od wojewody wołoskiego Stefana, i podnosi głos, aby tamże uczcić ten wysokiego znaczenia fakt historyczny trwałym *pomnikiem*, co mu się przy sprężystości i publicznej ofiarności udaje do skutku przywieść w r. 1878.; — zawiązuje w tym roku *odział Czarnohorski* Towarzystwa tatrzańskiego w Kołomyi, z zakresem opieki nad śliczną Czarnohorą i Pokuciem, urządza wraz z nami przez dwa lata nieustanne *wycieczki*, jużto turystowskie, jużto naukowe, wciąż bada okolice bliższe i dalsze, dzieląc się owocami swych poszukiwań z dalszą publicznością w *Pamiętnikach Towarzystwa tatrzańskiego*; — daje inicjatywę *wystawie etnograficznej* Pokucia w Kołomyi, która nad podziw wypadła świetnie; — liczy się do założycieli: teatru amatorskiego, pomnika Karpińskiego, towarzystwa rybackiego, muzycznego, kasynowego i t. d. Mimo tak wszechstronnej czynności nie zaniedbuje, ani powołania profesorskiego, bezstronny dla wszystkich religij i narodowości, ani literackiego zawodu, czego dowody składa świeżem tłumaczeniem *jeografji fizycznej dla szkół wydziałowych*, i ponętnymi *Obrazkami z przyrody*, jakie czasem drukuje w fejletonie „Gazeta Narodowa.“

Kronika dalszych dzieł i czynów Leopolda Wajgla nie jest jeszcze zamkniętą; pełen życia, w najpiękniejszych latach męskich, z głębokim zasobem ogólnej wiedzy, z nieposzlakowanym patrjotyzmem, łącząc serdeczność staropolską i miłe obejście — posiada wysokie zasoby serca i ducha, stawiające go nad poziomem prowincjonalnych plotek i szczepowych nienawiści. Poważanie, otaczające go przez wszystkie stany i wyznania Pokucia, dzielimy w zupełności jako tacy, cośmy przez dwa lata pilnie śledzili tego męża kroki na polu oświaty, życia politycznego i towarzyskiego, — podajemy wizerunek i ten szkic bezstronnie osądzonego kolegi w poczuciu obowiązku i szacunku, jakie każdy na widok prawdziwej zasługi uczuć musi...

Marceli Turkawski.

Z Krakowa.

Wszystko na świecie ma swój koniec, nawet obelgi rzucane przez wiedeński dziennik „Neue freie Presse,“ doczekały się skutecznej odprawy ze strony prezydenta miasta dra Zyblikiewicza i marszałka rady powiatowej krakowskiej p. Alfreda Milieskiego.

Od pewnego czasu, ów polakożerczy organ miotał potwarze na całą Galicję i w kolumnach swoich otworzył nawet stałą rubrykę p. t. *Die Polen gegen Oesterreich*. Krytykował czynności naszych ministrów, rzucał się na sejm i Wydział krajowy, szkalował pojedyńcze osobistości, nareszcie rozpuścił wierutną bajkę, że rada miejska i powiatowa nie mogły się pogodzić ze sobą co do rozłożenia kosztów podczas pobytu Naj. Pana w Krakowie i jakoby na sąd polubowny mieli przyjechać namiestnik hr. Potocki i prezydent miasta Lwowa p. Gnoiński.

Wiadomo, że nigdy nie było żadnego sporu i koszta wesela krakowskiego i dożynku, były z góry opłacone przez miasto, powiat krakowski i dotykające cztery inne powiaty do granic byłego księstwa krakowskiego, a hr. Potocki i p. Gnoiński zawezwani byli do sądu polubownego pomiędzy hrabiną Wodzicką, a hr. Stadnickim.

Opinja publiczna została do najwyższego stopnia oburzoną, a naczelnicy dwóch naszych autonomicznych instytucyj w dosadnych telegramach zmusili „Neue freie Presse,“ do sprostowania fałszywych pogłosek.

Dziś wszyscy się związali słowem do nieprenumerowania owego miłego dziennika i prędzej można odszukać krakowianina mającego sto guldenów w kieszeni, aniżeli numer „Neue freie Presse,“ w jakim publicznym zakładzie. Pod tym względem raz zapanowała solidarność i ludzie dobrych opinij poszli ręka w rękę, aby organowi centralistów, wychodzącemu w stolicy położonej nad pięknym, modrym Dunajem, pokazać, że i my w danym razie, potrafimy wytworzyć krucjatę przeciwko tym, którzy się ośmielają rzucać na honor polaków.

Pięćdziesięcioletni jubileusz dra Majera, prezesa akademji umiejętności, obchodzonym był uroczyście w kołach uczonych d. 12. stycznia r. b.

Przeszło siedemdziesiąt osób po większej części profesorów uniwersytetu i członków akademji, zasiadło do wspólnej uczty w sali hotelu saskiego. Pierwszy toast wzniósł dr. Piotrowski, dziekan fakultetu medycznego, następnie ks. kanonik Pelczar i rektor uniwersytetu dr. Teichman.

Profesor Majer w skromnej przemowie, nie przyznawał się do swoich wysokich zasług. Doktor Oettinger jowialny humorysta, w zręcznych krakowiakach, skomponowanych na prędce, wynosił czyny jubilata, a na zakończenie profesor Tarnowski, w dłuższej mowie, skreślił życiorys sędziwego prezesa akademji i jego działanie na polu medycyny i umiejętności. Mowa tego ostatniego przyjętą była hucznymi oklaskami.

Skromna ta uczta jest początkiem obchodu, a właściwy jubileusz, odbędzie się we wrześniu, podczas zjazdu lekarzy i przyrodników polskich.

Panna Disterlo, artystka teatru poznańskiego, zaprodukowała się w gościnnych występach przed tutejszą publicznością i przyjętą została bardzo sympatycznie. Miła i ujmująca powierzchowność, głos dźwięczny, a przedewszystkiem rutyna i znajomość sceny, są jej dodatniemi cechami i śmiało możemy powiedzieć, że panna D., liczy się do utalentowanych artystek.

Rola Olimpji Tavenier w komedji Angiera „Małżeństwo Olimpji,“ znalazła w niej dobrą przedstawicielkę. Szczególnie ostatnie sceny trzeciego aktu wypadły bardzo dobrze, a publiczność krakowska nie szczędziła oklasków i wywoływań.

Drugi występ powiódł się jeszcze lepiej. Owa sympatyczna Bianka, z dramatu Feuilleta: „Dwa światy,“ owiana nimbem poezji bretańskiej, została odtworzoną przez pannę Disterlo z poczuciem i artystka swoją grą potrafiła rozrzewnić widzów.

Teatr był dość licznie zapełnionym, co przy szalonem powodzeniu „Kościuszki pod Racławicami,“ nie jest zwykłą rzeczą.

W przyszłym tygodniu odegraną zostanie na benefis panny Disterlo,: komedja „Kobiety z kamienia,“ która od dawnego czasu nie była przedstawioną na naszej scenie.

Jak było do przewidzenia, bal na korzyść Towarzystwa Śtej Salomeji, powiódł się bardzo świetnie. Na dole i galerji pełno publiczności, a do mazura stanęło przeszło siedmdziesiąt par. Uprzejmość gospodyń, urocze rusałki, wyborowi tancerze, w ogóle, wszystko się składało, aby zabawa była długo pamiętaną.

Na ostatnim balu maskowym, po rozległej sali, przechadzało się kikanaście osób, ukostiumowanych, mniej więcej, statecznie. Dowcip i intryga na tutejszych redutach są bogami nieznajomymi, a nawet bufet błyszczał nieobecnością konsumentów. Podobno na trzecią wybiera się grono charakterystycznych masek, pomiędzy któremi, kotyljon pierrotów i arlekinów.

Kto dożyje, ten będzie mógł osądzić, czy ten rodzaj zabaw ma jeszcze prawo obywatelstwa w prastarym grodzie Krakusa?...

Od siedmiu lat wychodzi w Wiedniu dziennik francuski tygodniowy, polityczny: „Messager de Vienne," poświęcony głównie sprawie polskiej. Redaktorowie tego wydawnictwa z narażeniem nawet osobistych interesów, przemawiali językiem dyplomatów do całej Europy i każdy gwałt zadany naszej narodowości, znajdował zawsze w nich gorliwych obrońców. Niestety! ludzie łamiący za nas kopje, w naszym własnym kraju, nie mają poparcia i egzemplarze tego pisma, liczą się w Galicji do rzadkich unikatów.

Od nowego roku dołączanym jest bezpłatny dodatek: *La semaine litteraire et economique*, zawierający dział bellestryczny i ekonomiczny. Pomiędzy współpracownikami, spotykamy się z nazwiskami pp.: Juljusza Claretic, Augusta Dietrich'a, Henryka Fouquier, Wiktora Tissot, J. I. Kraszewskiego, Juljusza Mien, hr. Huberta Krasińskiego, posla greckiego w Paryżu, Raugabego, Andrzeja Theuriet, Mender-Leala, posła portugalskiego w Paryżu, Karola Scherzera, konsula jeneralnego austrjakiego w Lipsku i t. d. Poczet tych znakomitych pisarzy, daje nam rękojmię, że dział literacki będzie redagowany z wszelką starannością.

Spodziewać się należy, że ogół poprze usiłowania i „Messager de Vienne," znajdzie się w publicznych miejscach i na stolikach eleganckich buduarów naszego wielkiego świata.

Ignacy Jastrzębiec.

Z krakowskiego świata muzycz.—

„Dzieckiem w kolebce kto łeb urwał hydrze,
Młodzieńcem zdusi Centaury . . . "

Słowa te poety naszego, przypomniały mi się podczas koncertu panny Marji Majewskiej młodziutkiej pianistki i stypendystki sejmu krajowego, danego w dniu 5. stycznia 1881.

Pannę Majewskę uczennicę Ludwika Marka we Lwowie, a następnie Liszta, słyszeliśmy po raz pierwszy, jako 13-letnią pianistkę przed dwoma laty w Krakowie w koncercie danym dnia 9. grudnia 1878. a sprawozdanie wówczas z tego pierwszego wrażenia, zamieściliśmy w „Echu" krakowskim Nr. 11 (z dnia 14. grudnia 1888.). Usłyszawszy ją po raz pierwszy, przepowiadaliśmy jej wtedy świetną przyszłość, jako bardzo utalentowanemu dziecku. Słowa nasze spełniły się; wszędzie, gdzie od tego czasu ta ulubienica Lwowa występowała. w rodzinnym Lwowie, czy w Wiedniu, Peszcie, Wejmarze i Lipsku, wszędzie krytyka bardzo pochlebnie o tej młodej adeptce sztuki się wyraziła.

Znany jest także list Liszta, pisany do p. Marka we Lwowie datowany w Wiedniu 21. marca 1880., w którym bardzo pochlebnie mówi o talencie panny M. Mieliśmy w ręku także list tego mistrza i króla fortepianistów pisany do swej uczennicy (po francusku), w którym ją genjalny ten znawca *rare* i *excellent talent* nazywa.

W koncercie w dniu 5. stycznia r. b. grała p. Majewska: largo i allegro z Sonaty H-moll Szopena i tegoż Walc cis-moll, „Miniaturę" Rubinsteina, „Mazurek" Żeleńskiego (dedykowany p. Mentor-Popper) i „Polonez" E-dur Liszta. Najlepiej wykonała korcentantka „Miniaturę" i „Polonez" Liszta, nie zadowoliło zaś nas pojęcie walca (Cis moll) Szopena. Przymioty gry jej obecnie są: czystość trylerów i pasażów, dobre frazowanie i rytmika, zapał w grze i nad wiek jej silne fortissima, a przytem, coraz lepsza technika.

Drugim koncertantem na tym wieczorze był p. Mieczysław Horbowski, barytonista i prof. z Warszawy. Artysta ten odśpiewał następujące utwory: „Wspomnienie" Revignaniego, polonez z „Verbum nobile" Moniuszki, „Jo t'amero" Campana, „Dzikie sny" Żeleńskiego, „Ninę" Pergolezego, „Do wymarzonej" Rogoskiego i „Jej usteczka" Münchenheimera. Największe wrażenie na słuchaczach zrobił piękny polonez polskiego mistrza. Pan H. przedstawił się nam, jako artysta myślący i wnikający w ducha odśpiewanych dzieł; nie posiada głosu bardzo silnego, ale za to umiejętność śpiewania i wyraźną deklamację, głos już trochę suchy, ale wyborna szkoła, intonacja czysta i cieniowanie znakomite. Do urozmaicenia koncertu przyczynił się p. Sobiesław, artysta dram., który ustęp z „Szwajcarji" Słowackiego, pięknie wygłosił.

W Piątek dnia 14. stycznia 1881 dał p. Józef Wieniawski, pianista i były dyrektor warszawskiego Tow. muzycznego, koncert w sali hotelu saskiego. Program był prawie ten sam, jak i w koncercie lwowskim dnia 17. b. m. i dla tego w szczegóły wszystkich numerów wchodzić nie potrzebuje, nadmienię jednak, iż artysta ten posiadający dobrą technikę i piękne legato, wykonał najlepiej utwory Szopena i znany dobrze polonez g-dur Moniuszki. Znakomicie wykonał koncertant „Impromptu" Es-dur Schuberta, Etiudę op. 10 Nr. 3 Szopena zagrał prześlicznie. W ogóle muszę nadmienić, iż cały koncert był zajmującym dla świata muzykalnego. Gra myśląca tego artysty, wyróżnia się od innych wirtuozów, mających nawet bogatszy mechanizm, a to treścią duchową.

Z własnych kompozycyj grał koncertant 3ci Polonez (op 27) i 2gi Walc (op 30). Niestety, kompozytor tu nie dorównał wirtuozowi „Polonez" nie ma charakteru poloneza, ani myśli oryginalnej a „Walc" znowu ma zakończenie polonezowe. Żałujemy, iż p. W. nie dał nam poznać coś z wyborowych swych kompozycyj i nie zagrał nam n. p. swoją Sonatę na fortepjan i wiolonczelę, którą grał w Warszawie wraz z p. Poortonem, a której najpiękniejszym ustępem jest „Andante." Z dzieł tu wykonanych nie możnaby jeszcze sądzić o talencie twórczym koncertanta.

Fortepjan na tym koncercie był z fabryki Bösendorfera.

Maurycy Sieber.

Plotki i nieplotki.

* Najnowszą modą paryzką dla pań jest strój arlekina, złożony z różnobarwnych czworoboków, jak szachownica, z materyj jedwabnych, atłasowych, lub aksamitnych. Narzutki do sukni w ten sposób zrobionej jest w jednym tylko kolorze, wycięta na piersiach pod prostym kątem, lub zamknięta aż pod szyję. Niezbędnym szczegółem opisanego wyżej stroju, jest kołnierz i rękawki ze starych koronek brabanckich.

* Romantyzm ludowy. Przymusowe na tamten świat wędrówki mężów za pośrednictwem żon, i odwrotnie, wcale nie są rzadkiemi zjawiskami wśród ludu rosyjskiego.

„Wiadom. gubern." w Premie donoszą — jak czytamy w „Bieregu" (Nr. 248):

„We wsi Mostowej (pow. irbickim) istniały pewne dwa małżeńskie stadła włościańskie; mąż z jednej pary zakochał się w żonie z drugiej. Wkrótce zakochanemu umarła żona, a kochance jego — mąż; — wdowiec ożenił się z wdową, — ale sutkiem podejrzenia o zbrodnię, jakiemu uległo to nowe stadło, trupy wydobyto z mogił i para nowożeńców uznaną została za winnych: on o otrucie żony swej, a ona męża.

* Czytamy w „Gazecie Polskiej" a ta w „Mołwie", rosyjskim dzienniku, wychodzącym w Petersburgu, następujące bardzo zabawne, ale, jak na obecne stosunki policyjne w Rosji, wcale nieodosobnione doniesienie:

„Ze Smoleńska piszą do „Mołwy" (Nr. 337).

Zapowiedziano benefis pani Aleksandrow, artystki sceny miejscowej. Pani ta, wiedząc dobrze o tem, że zwykłe benefisy niedużo przynoszą, udała się do policmajstra, z którym się znała, o łaskawą pomoc w rozdawnictwie biletów. Ten bardzo grzecznie się spisał, bo wnet rozkazał komisarzom rozsprzedać bilety na przedstawienie, mające niby cel dobroczynny. Pomysł uwieńczył się najpożądańszym dla artystki skutkiem. Ci, co kupowali bilety, nie spodziewali się żadnej profanacji dobroczynności i licznie się zgromadzili w teatrze. Niestety, wykryło się wszystko, i publiczność głośno objawiła swe niezadowolenie; wielu zażądało zwrotu pieniędzy, wysykano p. Aleksandrow, i oskarżono zagrzecznego policmajstra przed gubernatorem.

* Znajomość sztuki w Ameryce. Niedawno jeden z bogatych przemysłowców w Ameryce zamówił w Florencji kopję Wenery z Milenu i kazał ją sobie przysłać do San-Francisco. Wiadomo, że statua ta, znajdująca się w Luwrze w Paryżu, jest bez rąk. Gdy więc zamówiona kopja nadeszła do San-Francisco, amerykanin wytoczył proces transportującemu przedsiębiorstwu, obwiniając takowe „o uszkodzenie artystycznego dzieła", a wskutek tego o zwrócenie całkowitej zapłaty za statuę i wynikłe ztąd stracone korzyści. Ale co najciekawsze z tego wszystkiego, że sąd w San-Francisco uznał słuszność pretensji i skazanemu zasądził żądaną sumę.

* W Berlinie zawiązał się w tych dniach *klub starych kawalerów* — we Lwowie, ma się podobno zawiązać *klub starych kawalerów i starych panien*. Klub berliński ma za zadanie osładzać przykre dni osamotnienia płci brzydkiej — klub lwowski, pragnie wejść na praktyczną drogę i przez łączenie w klubie tego, co się w zwykłem życiu złączyć nie mogło, ma nadzieję powiększyć liczbę małżeństw i przysporzyć obywateli społeczeństwu. Klub lwowski utrzymuje, iż dopnie celu, gdyż wychodzi z zasady, że „w starych piecach djabeł pali..."

SIEROCE DZIEJE

POWIEŚĆ

PRZEZ

Anielę Milewską

TOM I.

(Ciąg dalszy).

Nazajutrz Ludwika siadłszy do stolika, pisała do ciotki.

„Nie można kogoś przymuszać do spełnienia ofiary, Albertynka nie uznaje obowiązku, włożonego przez umierającego ojca na nas; Niechaj więc idzie pomiędzy obcych ludzi, zatęskni tam może do swoich. Proszę cioteczki o uzyskanie dla niej miejsca wiadomego u pani Kotulickiej.“ — Otwarty list oddała siostrze; Albertyna rozpogodziła twarz, pierwszy raz od śmierci ojca, śmiała się i bawiła z dziećmi. Wyprawiwszy list do ciotki marząc rozkosznie, oczekiwała odpowiedzi.

Pragnienie zostało spełnionem. Pani Kotulicka zgodziła się na wzięcie Albertyny, jako towarzyszki dla siebie, przysłała nawet pieniądze na drogę.

Potrzeba było zrobić jakąś wyprawkę, Ludwika zrozumiała to, użyła coś z oszczędności przeznaczonych na spłacenie długu, miała to być pożyczka zwrócona z płacy Albertyny.

Albertyna okazywała wdzięczność za wszystko; była dobrą i czułą, jakby teraz serce jej dopiero otwarło się dla miłości rodzinnej.

Rozstanie było smutne, łzy i pocałunki rozmiękczyły do reszty jej duszę, gdyby nie wstyd fałszywy i wabne rojenia, zostałaby może w domu.

W wagonie, pośród tylu obcych twarzy, uczuła się samotną i żal ogarnął serce...

Wkrótce wyobraźnia wzięła górę, stawiając za przykrość obecną, złote marzenia przyszłości. Godziny schodziły szybko, bo myśl tworzyła coraz nowe, a miłe obrazy.

Chłodne przyjęcie ciotki Wyszewskiej, dotknęło znowu przykro, rozkołysaną dziewczynkę.

W obec pochwał dla poświęcenia Ludwiki, uczuła pewien wstyd. Nie śmiała rozgościć się w domu krewnej, zabawiwszy kilka godzin, wzięła konie pocztowe i pojechała do Zbyszyna, do celu podróży swojej.

Wnet przykre uczucia ustąpiły na widok pięknego pałacu i wspaniałego ogrodu pełnego przecudnych kwiatów, roskosznych altanek, i kamiennych posągów pośród zieleni.

Słabe konie pocztowe, nie mogły podjechać na wysoki taras pałacu. A! czemuż nie mogła mieć dzielnej czwórki i powozu!

Zawstydzona wysiadła z bryki i poszła sama na górę; ztąd obejrzawszy się w koło, doznała uczucia rozkoszy niewypowiedzianej — piękność otoczenia wywierała na nią urok tajemniczy.

Przy drzwiach lokaj staruszek zmierzył ją badawczym wzrokiem i nie bardzo uprzejmie zapytał:

— A zkąd to pani?

— Przybywam z Warszawy, muszą tu o mnie wiedzieć, nazywam się Albertyna Dąbrowska.

— Aha, — mruknął sługa — jest dla pani pokój na górze, można tam iść zaraz.

Albertyna chętnie przystała, pragnęła odmienić podróżne ubranie. Sługa wziąwszy klucz, poszedł naprzód, przeprowadziwszy przez kilka wspaniałych pokoi, do drugiej sieni, i po żelaznych wschodach na górę otworzył wytwornie urządzone mieszkanko.

— Czy tu mój pokój? — zapytała Albertyna.

— Tak jest — odparł — czy przynieść rzeczy z bryki?

— Proszę bardzo, i o zapłacenie pocztylionowi, także proszę.

Odliczyła wymieniwszy należność, a umyślnie nadała kilka złotych więcej, aby sobie ująć nową znajomość.

Była prawdziwie uradowaną, pokoik urządzony wygodnie i pięknie, służba w galonach, uroczy widok z okien, wszystko to upajało ją rozkoszą. Znalazłszy czystą wodę, na porcelanowej, kwiecistej miednicy, umyła twarz i ręce, przeczesała włosy, włożyła nową sukienkę. Uśmiechała się sama do siebie w wielkiem, jasnem zwierciadle tak znajdowała się ładną i czuła szczęśliwą.

W pół godziny potem zeszła na dół, tenże służący co poprzednio, spotkał ją w przedpokoju.

— Czy mogę widzieć panią Kotulicką? — zapytała.

Otworzył drzwi przeciwległe, prosząc, aby weszła.

Albertyna ujrzała kobietę w podeszłym wieku, siedzącą w fotelu wygodnym, w czarnej materjalnej sukni i w czarnym czepku na głowie. Cera twarzy żółta, włos czarny zmieszany z siwym, rysy ostre, powyginane w ostre łuki, brwi gęste nad żółtawemi oczyma, patrzącemi przenikliwie; widok tej postaci odrazu zniweczył nastrój uszczęśliwienia, wywołany wspaniałością mieszkania.

— Czy panna Dąbrowska?

— Tak jest — odparła Albertyna kłaniając się.

Oczy przenikliwe, badawcze, przeszyły na wskroś wystraszone dziewczę.

— Pas mal — szepnęła pani do siebie.

— Panna Dąbrowska zna już zapewne swe obowiązki — badała dalej.

Albertyna zmieszała się, bo zapomniała zapytać o to ciotkę.

— Przyznaję, — wyszeptała — iż nie wiem dokładnie.

— Jak to być mogło? Panna Dąbrowska przyjęłaś obowiązek nie znając go.

Albertyna milczała.

— To źle, bardzo źle — mówiła dalej pani domu — dałam dokładną instrukcję ciotce panny Dąbrowskiej, która mi się rekomendowała.

— Nie miałam czasu zapytać — odpowiedziała wreszcie Albertyna — spieszyłam się tutaj.

Pani Kotulicka spojrzała bystro na dziewczynę, jakby chcąc odgadnąć, co podało jej tę odpowiedź, czy naiwność tylko, czyli przebiegłość.

Dobroduszna fizjonomja, uspokoiła ją widocznie, bo uśmiechnąwszy się łagodniej, wyrzekła łaskawie:

— Lepiej było mniej się spieszyć, a dowiedzieć najprzód czego żądamy.

Jestem ociężałą, przykutą prawie do fotelu, potrzebuję by ktoś był przy mnie. Nie znoszę samotności. Oto twoje miejsce — mówiła dalej, wskazując mały taborecik obok siebie — tu będziesz czytywała głośno, gdy zażądam, lub zajmiesz się robótką, gdy się zdrzemnę. Nic więcej nie żądam, tylko obecności twojej. To jest moją potrzebą. Za to płacę.

— Przywykłam do siedzenia — odparła w domu szyłam wiele.

— Jesteś młodą — mówiła dalej staruszka — to dobrze, lubię głos świeży i ładne twarzyczki. Podobno grasz trochę na fortepianie?

— Cokolwiek.

— Czasem lubię muzykę. Umiesz po francusku, po niemiecku mówić?

— Uczyłam się na pensji tych języków.

— Lubię czytanie francuskich książek.

— A czy jesteś rozmowną ciągnął się dalej egzamin.

— Nie wiem, zależy to od usposobienia — wyszeptała zmieszana Albertyna.

— Tutaj usposobień mieć nie wolno; zapowiadam. — Zawołała żywo pani Kotulicka. — Właśnie oddaliłam pannę Wargocką, dla fantastycznego usposobienia. Lubię twarz wesołą, uśmiech na ustach. Dąsów nie potrzebuję, proszę pamiętać o tem.

Rozmowa ta przykro oddziałała na Albertynę. Zaczęła pojmować, że dobrowolnie przyjęła niewolę. Siedzieć cały dzień u nóg despotycznej pani, bez świeżego powietrza, bez ruchu, wydało jej się rzeczą bardzo nieprzyjemną. Ukrywając przykre wrażenia uśmiechała się zimno.

— Możesz przejść się cokolwiek po mieszkaniu i ogrodzie, ale prędko powracaj, rzekła pani Kotulicka po niejakim czasie. — Albertyna skłoniwszy się, wybiegla do ogrodu nic jednak nie widziała przed sobą, myśl biegła w przyszłość, nie pojmowała jeszcze, nowego — życia wydało się jej jednak smutnem.

Przeszła kilka razy ogród i zaczęła się nareszcie w nim rozglądać, gdy stanął przed nią służący prosząc na kawę.

Albertyna wróciwszy zastała w tymże pokoju stolik nakryty, a na srebrnej tacy imbryk i dwie filiżanki, kilka ciastek na talerzyku i kilka skibek chleba i bułki.

— Nalejże mi rozkazała pani Kotulicka — i sobie także dodała, gdy Albertyna podawała jej filiżankę.

Młode dziewczę siadło na owym stołku, który miał być jej więzieniem z filiżanką kawy, nie śmiąc jej ponieść do ust.

Pani Kotulicka rozpytywała o Warszawę, o teatr, Albertyna nie wiele o tem powiedzieć mogła. Żyjącej w pracy i ubóstwie, rozrywki te wielkiego miasta nie były dostępne; przyznać się zaś do prawdy za nic

w świecie nie chciała, pani Kotulicka, wzięła ją za małomowną.

— Zapewne, po trochu ośmielisz się i staniesz się rozmowniejszą.

Po półgodzinnem czytaniu, staruszka przerwała.

— Nie źle czytasz, głos masz miły, bałam się krzykliwości, lub piskliwości w głosie, bo tego nie znoszę.

Dzień ten wydał się Albertynie, niezmiernie długim, wrażenia przebyte oddziałały na nią przygnębiająco, wysiłki na utrzymanie rozmowy znużyły okropnie. Wieczerza przy tymże stoliku, przypomniała jej wieczorne gwarne kolacje z rodzeństwem i żal jej było przeszłości pogardzonej. Czy oni tam myślą o niej? Czy odgadują, jak jej tęskno za niemi? Nakoniec, pani Kotulicka spostrzegłszy znużenie dziewczyny wzięła w rachubę jej daleką podróż i zadzwoniła na lokaja.

— Tomaszu, każ tu przyjść Przyrembskiej i Paulinie.

Za chwilę weszły dwie kobiety, jedna starsza w białym czepku na głowie, a druga młoda i świeża dziewczyna.

— Paulino — rzekła pani Kotulicka, do młodszej — oto panna Dąbrowska, której masz usługiwać, prosze cię, niechaj nie słyszę skarg na twą niedbałość, jak to bywało. Zapal lampę i zaprowadź pannę na górę.

Albertyna w swoim pokoiku, w towarzystwie Pauliny uczuła się swobodniejszą, rozczesując włosy zaczęła na dobre gawędkę.

— Pani ma śliczne włosy, mówiła Paulina aż miło czesać, nie takie, jak pani Wargocka, która warkocze miała, jak palce.

— Ty także masz ładne włosy.

— Tak, ale panine większe.

I dalej rozmowa kwitła; Paulina opowiadała, jak tu ciężko wyżyć młodym osobom, jak nikt z gości prawie nie bywa, jak wszystkie poprzedniczki Albertyny czuły się nieszczęśliwe i opuszczały Zbyszyn, co najprędzej.

— Czy pani nie ma dzieci? Czy nigdy tu nie przyjeżdżają? — zapytała przerażona Albertyna.

— Jaśnie pani ma syna. ale ten siedzi w Paryżu, nie był tu nigdy za mnie.

— A córek nie ma?

— Nie, córek nie ma wcale, miała jeszcze dwóch synów, ale pomarli dwa lata temu.

— Ty, Paulinko, gdzie sypiasz? — spytała po chwili.

— Nie daleko ztąd, mam mój pokój.

— Sama spać nie lękasz się?

— Sypiam z pokojówką Rózią.

Albertyna pozazdrościła jej, nigdy jeszcze nie spała sama, uczuła przykrą obawę, ale nie śmiała prosić Paulinki, aby z nią nocowała. Gdy służąca wyszła, zamknęła drzwi na klucz, była bardzo znużoną, ale nie senną, nie gasiła lampy, chodziła długo po pokoju, kładła się i znowu wstawała. Własny cień na ścianie wprawiał ją w drżenie, szelest własnej sukni, ścinał krew w żyłach.

Nad ranem zaledwie zasnęła. Zbudziło ją pukanie do drzwi, wyskoczyła z łóżka, otworzyć. Była to Paulina.

— Niech się pani prędko ubiera, Jaśnie pani już wstała, zechce pić kawę, a panna Wargocka zawsze kawę nalewała.

Albertyna zaczęła się ubierać, lampa jeszcze nie była zgaszoną, Paulina zaśmiała się.

— Aha, widzę, pani sie boi.

Albertyna wyznała, iż noc przepędziła okropnie.

Albertyna zeszła na dół, jeszcze więcej strwożona, niż dnia poprzedniego, głowa ją bolała, oczy miała zapadłe. Dzień schodził równie ciężko, jak wczoraj; na obiad przeszły do sali jadalnej, ale nikt więcej nie przybył. Sala zawierała kilka kosztownych sprzętów i całą galerję portretów familijnych, które dostarczyły wątku do rozmowy. Pani Kotulicka opowiadała dzieje swojej rodziny.

Tak płynęło życie jednostajnie. Pierwsze dni dostarczyły pewnej rozmaitości, ale wkrótce nastąpiła zabijająca nuda.

W niedzielę bytność księdza proboszcza na obiedzie, nabożeństwo w kościele, dawało jakąś odmianę, lecz i to powtarzając się co tydzień, zamieniło się w powszedniość.

Czasem bardzo rzadko zdarzały się odwiedziny której z podżyłych sąsiadek, wtedy przybyła zajmowała miejsce na taboreciku, a Albertyna odsuwaną zostawała ku drzwiom i pomijaną, jakby nie istniała wcale.

Czasem przychodził pan rządca dóbr, zajmował miejsce przy drzwiach i zaczynały się rozmowy gospodarskie, narady o sprzedaż produktów, o zmianę sług i t. p.

Wszystko to nużyło umysł Albertyny nie nauczając niczego, a czytane romanse francuskie, które pani Kotulicka lubiła, wprawiły młodą dziewczynę w stan rozmarzenia prawie gorączkowy.

Była ciągle, jakby wpół senną, nie zdolną do gawędki, a tym sposobem nie spełniała obowiązku.

Gra na fortepianie, na którą tak się cieszyła nie dostarczała jej wiele przyjemności; pani Kotulicka kazała czasem zagrać jakąś melodję, ale nie pozwoliła uczyć się czegoś nowego, nieznosząc niewprawnego czytania nut. Zima całkiem zamknęła ją w pokoju. Z daleka widziała Albertyna podwórze gospodarskie, wieczny ruch w niem, uwijających się ludzi, ale Paulina powiedziała jej, że młodej pannie nie wypada tam chodzić, bo tam są urzędnicy gospodarscy. Albertyna była ciekawą widzieć tych urzędników, wyobrażając ich sobie, podobnymi do warszawskich paniczów. lecz ostrzeżona, nie śmiała pójść w podwórze.

— Kto mieszka w tych ładnych domach za ogrodem, pytała.

— Urzędnicy gospodarscy — objaśniała służąca.

— A kobiet tu wcale niema?

— Owszem, są żony urzędników.

— A dla czego nigdy nie przychodzą do pałacu?

Paulina zaśmiała się tak impertynencko, iż nieświadome dziewczę zrozumiało, że wyrzekło jakąś wielką niedorzeczność, choć nie pojmowało zupełnie w czem ona leży.

Pani Kotulicka zaczęła wyraźnie objawiać swe niezadowolenie z towarzyszki, dobre wrażenie, jakie zrobiła miła powierzchowność, znikła, a nastąpiło zniecierpliwienie.

— Nie mam szczęścia — mówiła bez ogródki do Albertyny — wzięłam starą ta zamęczała mię ochrypłym głosem, gorszyła się czytaniem, które mię cokolwiek rozrywa, a częstowała tylko teologją. Panna Wargocka miała lat trzydzieści, brzydką była, jak noc, a marzyła wciąż o zamęźściu. i umierała z rozpaczy, że tu nie było point d'epouseurs. Wzięłam nakoniec młode dziewczę, sądząc, że mi będzie szczebiotało wesoło, a mam sama nie wiem co? mazgaja! To prawdziwe nieszczęście!

Albertyna łykała łzy. Podobne słowa nie dodawały jej otuchy i nie przywracały swobody. Do rodzeństwa pisywała listy krótkie, wstydząc się skarg: Ludwika odpowiadała także krótko, bo rzeczywiście czasu nie miała na długie korespondencje. Albertyna czuła się nieszczęśliwą, zawiedzioną, spodziewała się używać rozkoszy bogactwa, a znalazła niewolę, przy której powaby dostatku straciły wszelki urok.

— A, zawsze tak być nie może, trzeba poszukać innego miejsca, innych ludzi, trochę weselszych. trochę lepszych — myślała Albertyna, a czas uchodził szybko, choć smutno i jednostajnie, jak ludziom zamkniętym w więzieniu. (C. d. n.)

TEATR.

— P. Lubicz wybrał na swój benefis 3 aktową farsę, z francuskiego tłomaczoną. którą pod tytułem niefortunnie w polskim przekładzie. pomyślanym: „Gapie w miłości", przedstawiono po raz pierwszy na lwowskiej scenie dnia 14. b. m. Farsa ta w oryginale francuskim nosi tytuł: „Les jocrisses de l'amour", co po polsku powinno być najodpowiedniej: „Miłostki gapiów", ale mniejsza zresztą o tytuł — rzecz głównie w tem, że sztuka, oprócz kilku pociesznych sytuacyj, nie ma żadnej, a żadnej wartości. Zdaje się, że p. Lubicz, jako benefisant, miał jedynie na celu kasę — i dopiął swego, bo teatr był prawie pełny... Jako artyście, można mu to, zresztą, wybaczyć; jako reżyserowi, wolno zrobić każdemu zarzut, że p. Lubicz w wyborze, zdradził brak poważniejszego zapatrywania się na sztukę, i chodzi mu przedewszystkiem o monetę, a potem... o nic więcej... Najkomiczniejszą jednak rolę pomiędzy tymi „Gapiami" odegrał... recenzent „Gazety Narodowej"... Na kilka dni przed benefisem nadpełtwiański ten Arystarch zachęcał publiczność w *kronice* „Gazety", aby się licznie na „Gapiów w miłości" zebrała, bo na to zasługuje i sztuka i utalentowany artysta, a po przedstawieniu w kilkunastu wierszach w tej samej *kronice*, zgromił pana Lubicza za wybór sztuki, nazywając ją karykaturalną farsą... Jest to dość oryginalny sposób pisania recenzyj, w których przedewszystkiem jest rozczulająca *bezstronność*... Nie, doprawdy, można powiedzieć z dumą: *il y a des hommes de lettre à Leopol...*

Stanowczo też twierdzimy, że „Gapiów w miłości“ napisał jakiś inny Barrière, ale nie Teodor, autor „Fałszywych poczciwców“; jeżeli na to potrzeba dowodów, możemy ich dostarczyć...

Najwybitniejszą rolę w tej farsie miał p. Fiszer, którą też znakomicie wyzyskał, po nim p. Zboiński grał z wielkim humorem, a następnie panna Sułkowska w drastycznej roli z paryzkiego pół-światka, usprawiedliwiała noszenie jej rozkosznego pantofelka przy gorejącem sercu młodzieńca, którego p. Kwieciński, odegrał z sympatyczną ślamazarnościa... P. Skalski sługusa kokotki grał z werwą i scenicznym komizmem. Zupełnie małą i zupełnie bladą rolę drugiego podkochiwającego się młodzieńca na stronie, grał p. Lubicz, którego aktorska skromność, ujawniająca się w przyjęciu malutkiej roli w chwili tak ważnej, jak benefis, była rozrzewniającą... Uroniwszy więc łzę współczucia dla tej gołębiej prostoty pana reżysera, z obowiązku dodać winniśmy, że w „Gapiach w miłości“ występowały jeszcze w maleńkich rolach: pani Dudtów, pani Patkiewicz, panny Boguszewska, Koźmian i Weigel, oraz dwóch mniej znanych szermierzy scenicznych, z których jeden pokazał się na początku sztuki jako tapicer i napiwszy się wina 1846 r. zniknął niepowrotnie, a drugi, jako posłaniec zrobił to samo przy końcu sztuki, ale bez wina...

Na tem miejscu prostujemy pomyłkę zaszłą w poprzedniej recenzji, mianowicie, że w „Pod ziemią“ nie p. Walewski występował, jakieśmy to napisali, lecz p. Woleński. *M. D. Ch.*

Potoczne wiadomości teatralne. —
Z Paryża.

Sezon teatralny w całym rozwoju i wszystkie sale widowisk przepełnione. Gdy się jednak bliżej temu ruchowi teatralnemu przypatrzymy, trzeba przyznać, że nowych, a znakomitych sztuk nie ma wcale. Nie chcemy ztąd wnosić, do powierzchownej krytyki pochopni, aby dramat i komedja upadały we Francji, tak samo, jak upadła tragedja, ale obecnie, jedyne dwie sztuki, które wchodzą do poważniejszego repertuaru i na gruntowniejszą zasługują ocenę, są wznowione, od lat dwudziestu znane sceniczne utwory.

Pierwszą jest: „Père prodigue“, Dumas'a syna. Grają ją w Vaudevillu, po mistrzowsku. Dupuis, który gra tytułową rolę, jest bezwątpienia najlepszym aktorem paryzkim.

Druga sztuka, wznowiona także, jest: „Jean Baudry“, przez p. Augusta Vacquerie. Komedja francuzka, gdzie ją przed dwudziestu laty z powodzeniem dawano, w oczekiwaniu nowej sztuki Dumas'a: „La princesse de Bagdad“, wznowiła ten dramat i powodzenie jego niezmierne. Vacquerie, zięć Wiktora Hugo, redaktor demokratycznego dziennika „Rappel“, powoli przez dziennikarstwo oderwany został od literatury w ścisłem słowa tego znaczeniu, i szkoda tego istotnie. Jest to jeden z najenergiczniejszych talentów, myśliciel potężny i mający na swe usługi wspaniałą formę zewnętrzną. Jego „Tragadalbas“, „Funerailles de l'honneur“ itd. należą przez swą datę do tej pamiętnej epoki romantycznej, która była płodną w arcydzieła. Że się jednak nie zestarzały te utwory, najlepszy dowód daje Jan Baudry. Jest to apoteoza poświęcenia i walki dwóch natur złej i dobrej, skrystalizowana w dwóch mistrzowsko skreślonych typach.

W Gymnase przygotowują przerobione przez autora arcydzieło Emila Augier'a: „Le mariage d'Olympe. Teatr ten został zaskoczony niespodziewanym upadkiem nowej sztuki Gondinet'a: „Les Braves Gens“.

Największy sukces teatralny obecnie w Paryżu przypadł w udziale nowej sztuce p. Dennery i Juliusza Verne, napisanej na tle znanej powieści tego ostatniego: „Michał Strogow“. Pseudo-naukowe powieści Verne'a kwalifikują się wybornie do wlania nowego ducha, do odnowienia starej reformy sztuk czarodziejskich, która nawet i dzieci bawić przestała. Wprowadzając akcję swej sztuki wśród społeczeństwa, o którem francuzi; in gremio, słabe tylko mają wyobrażenie, p. Verne wprowadza ich już przez to samo w świat fantastyczny. Obecnie rosjanie, kirgizi, turkomani, sybiracy, stroje, zwyczaje, krajobrazy azjatyckie — dają tło malownicze i, że tak powiemy, zewnętrzną oryginalność. Jeograficzno-etnograficzna sztuka wystawiona jest na obszernej scenie Chatelet z niesłychanym przepychem dekoracyj, strojów, karawan, baletów, i p. Duquesnel, dyrektor, wyłożył na nią sumy fantastyczne. Jako spekukulacja okazuje się to doskonałe. Publiczność szturmem bierze kasę, a w dnie świąteczne, gdy dwa razy dziennie reprezentacja ma miejsce, z górą 25.000 fr. wynosi. Cyfra taka wystarcza do zwabienia mas, które tam napływają, gdzie rozgłośny bęben ich wzywa. Co najmniej na rok cały, „Michał Strogow“ będzie dokazywał cudów na scenie Chatelet.

— „Taras Bulba“, opera Knenera, przedstawiona niedawno w Petersburgu, zrobiła stanowcze fiasco, jak donoszą gazety rosyjskie, tak, że przedstawienie nie powróciło dyrekcji opłaty kosztów i *feu* dla artystów. Na trzeciem jej przedstawieniu, teatr świecił pustkami.

Koncert J. Wieniawskiego *) dany w ratuszowej sali dnia 17 b. m. nie ściągnął licznej publiczności — a co najważniejsze, że i tych co się zebrali, nie zachwycił wcale. Sonata (Es-dur) Bethowena, którą pan Wieniawski rozpoczął swój koncert nie sprawiła wrażenia, jak również warjacje (F-mol) Haydne, i warjacje (E-dur) Haendla, nie przemówiły do nas swoją naiwnością. Polonez Moniuszki (z Hrabiny), którego się słucha z prawdziwą przyjemnością, gdy wiolonczela go śpiewa, nie zdołał przemówić przez fortepian do serca... Zniknął jak echo, które naśladuje śpiew rzewny i majestatyczny...

Ale za to Scherzo (cis-mol), Ballada (G-mol) i Etude (E-dur) Chopina — a szczególniej kwartet z „Rigoletto“, wywołały szczere oklaski.

Oprócz powyższych utworów p. Wieniawski wykonał dwie swoje kompozycje — poloneza i walca. Polonez trochę zagmatwany, mniej się podobał od walca, który rzeczywiście może się liczyć do pięknych utworów.

Co się tyczy gry pana Wieniawskiego, to wyznać musimy, że nie odznacza się ona wielką techniką — jest ona równa i wprawna, ale nie imponująca poezją i siłą.

Dnia 14 b. m. dany był trzeci wieczór Tow. Muzycznego, w którym po raz pierwszy widzieliśmy młodziuchną artystkę pannę L. grającą ładnie trio fortepjanowe (e-dur) Hummla.

Panna Różanowska odśpiewała Schumana: „Biedny Piotr“ (z niemieckim tekstem) i Chopina Mazur. Całość była, jak zwykle artystycznie wykonaną, i jak zwykle interesującą.

Bolesławicz.

*) Sprzeczność w ocenie gry i talentu pana Wieniawskiego, powstałą w sprawozdaniach lwowskiem i krakowskiem — pozostawiamy odpowiedzialności naszych recenzentów.

(Przyp. Red.)

PIPISTRELLO.

POWIEŚĆ OUIDY.

Przekład z angielskiego.

(Ciąg dalszy).

Gdzież wam to pojąć, wam biednym wyrobnikom, snującym się leniwie po ulicach, z okiem wlepionem w twarz bogaczów?

I ja, ja właśnie, dla którego życie w górze było radością, szczęściem, zachwytem, zostałem skazanym na pełnienie obowiązku pisarza u notarjusza...

Zwałem się Pipistrello (nietoperz), ponieważ wiecznie bujałem i krążyłem po powietrzu; moja matka i babka tak to sobie ułożyły ze starym notarjuszem, który mieszkał na rogu ulicy i zarabiał na chleb powszedni, zachęcając sąsiadów swoich do niezgody, ile tylko mógł.

Był to stary łotr, ale matka nie wiedziała o tem; przyrzekł jej czuwać troskliwie nad młodością moją, a ona wierzyła, że jego potęga uchronić mnie zdoła od wszelkich przeciwności losu. Potrzebowała tej pewności, że jej syn nigdy nie pójdzie w niebezpieczne ślady ojca; pragnęła, abym wraz z nią codzień zasiadał do talerza polewki z jarzyn. Biedna matka!

Pewnego dnia los dał mi inne przeznaczenie, niż to, które ona mieć dla mnie chciała.

Było to o wschodzie słońca w kwietnią niedzielę.

Usłyszałem ostry dźwięk piszczałki, metaliczny brzęk cymbałów, gwar chłopców i uderzenia małego bębenka.

Mała trupa sztukmistrzów i skoczków na linie biła werbel, przeciągając przez rynek i Reggio-Emilia. Trupa zatrzymała się w wązkiej uliczce, słońce ją paliło, a stare, zgarbione domy otaczały dokoła.

Poleciałem z innymi chłopakami przypatrzeć się nowo przybyłym. Orte miało świąteczną postać; stara mieścina zaniedbana, opuszczona, zapomniana przez świat cały, w ten dzień przybrała się radośnie w palmy, lilje, bzy i wierzbowe gałązki, a lud poczciwy, wesoły, strojny w odświętne szaty, napełniający ulice, kościoły i szynkownie, całą masą popłynął, tłocząc się dokoła kuglarzy. Pamiętam, że był to kwiecień; za wałami miasta i nad brzegami Tybru, wezbranego przez przypływ wiosenny, świeciło w zielonem zbożu tysiące narcyzów i pąsowych tulipanów w żółte prążki.

Zapach ziół i kwiatów zalatywał do miasta i rozchodził się po zapylonych, wązkich uliczkach. Wioślarze zielonemi gałązkami przystrajali maszty; cichym wieczorem słychać było brzęk polnych koników, a jeśli nadleciał komar i piosnką swą zadzwonił, gotów byłeś zawołać nań: „witaj“, gdyż trąbka jego wieść radośną głosiła: „nadeszło lato“!

O wy, jasne lata mej młodości! Jakżeście prędko ubiegły... Stary już jestem — tak, bardzo stary, chociaż przeżyłem tylko dwadzieścia pięć lat.

Po południu w ową kwietnią niedzielę, pobiegłem przyglądać się atletom, jak mól leci na świecę. Wszyscy we Włoszech lubią sztukmistrza, rozmównego i milczącego, czy pokazuje marjonetki, lub też żywych ludzi. Całe miasto wyległo i ja podziwiałem ich sztuki, przy blasku zachodzącego słońca.

Patrzyłem i drżałem, śmiałem się i łkałem z zachwytu. Od tylu lat nie widziałem braci moich! Czyż oni wszyscy nie byli mi braćmi?

W tym dniu świątecznym, gdy nasze szare zwykle i ponure Orte pełne było liści i kwiecia, jak wazon w dzień ślubu przystrojony pomarańczowymi kwiatami, nawiedziła miasteczko dość świetna trupa gimnastyków: przewodził jej niemłody już człowiek, ojciec pięciu synów, pięknych i dzielnych młodzieńców. Jedni drugim stawali na ramiona i tworzyli żywą piramidę; gięli i łamali żelazne pręty, ucinali głowę barana jednem cięciem miecza; słowem, robili to wszystko, co robił niegdyś mój ojciec. A ja podziwiałem ich oczarowany, zachwycony, olśniony, upojony aż do utraty zmysłów, wspomnieniami napływającemi w umyśle moim, jak lawa. Każda wykonywana ewolucja, każdy odgłos oklasków, które dosięgały do mego słuchu, wskrzeszały mi w duszy tysiące pamiątek.

Jest coś strasznego, przerażającego w tych odziedziczonych we krwi wspomnieniach, z któremi człowiek na świat przychodzi. Nie mogłem oczu oderwać od tych ludzi i powtarzam: byłem pijany radością, oszalałem od wspomnień i pragnień, a matka przeznaczała mnie do kancelarji notarjusza i pragnęła, abym zamknięty całe życie, z piórem w ręku, siał ziarno wszelkich nienawiści, wszelkich występków i smutków, zażegając płomień zemsty i chciwości w duszach ludzkich, o nędzny akr ziemi, lub rulon złota! Pragnęła widzieć mnie dependentem u notarjusza!

Wpatrywałem się w tych ludzi, których los mi się tak godnym zazdrości zdawał: wysmukli, zręczni, silni, ze lśniącą, jak u zielonego węża skórą, w świecących, naszytych paljetkami tunikach, w małych, aksamitnych czapeczkach, z długiem, białem piórem.

— Weźcie mnie, weźcie! — wołałem do nich, a stary naczelnik trupy srogo popatrzył na mnie: lecz gdy się skończyło przedstawienie, przestąpił sznur służący za arenę i wyciągając do mnie silną dłoń, zawołał: „Na rany Chrystusowe! to mały Pippo“.

Był to stary towarzysz mego ojca.

Krótko mówiąc — gdy mała trupa opuszczała Orte, przyłączyłem się do niej.

Nikczemnie wykonałem ten zamiar; matka moja spała jeszcze, nie wiedząc o niczem, gdy o brzasku dnia wyśliznąłem się przez kraty w oknie, cichutko skoczyłem na prom stojący na rzece i w taki sposób połączyłem się z nowymi przyjaciołmi. Niegodnie postąpiłem, lecz nie było na to rady. Przeznaczenie silniejszem było odemnie.

Stary dyrektor trupy nie turbował się wcale tą kwestją, czy zachęcając mnie do podobnego kroku, postąpił źle, lub dobrze.

Przeczuwał we mnie atletę, który mu z czasem zaszczyt przyniesie i ściągnie do kasy niemało dukatów. Przytem dostałem mu się darmo.

Od tej chwili zaczęło się dla mnie prawdziwe życie. Płakałem często, doznawałem gorżkich wyrzutów sumienia, a jeśli mi się zdarzyło przechodzić koło krzyża, drżałem z prawdziwą skruchą i żalem, zaciskałem mocniej pasek świecącej mojej tuniki i pomimo wszystkich udręczeń sumienia, byłem szczęśliwy.

Gdym już odszedł bardzo, bardzo daleko, napisałem do matki; zrozumiała biedna, że nie było sposobu zmuszenia mnie do powrotu. Dzieci są samolubami, mało mają serca. Skoro dziecię cierpi, tęskni do matki, lecz jeśli mu dobrze — mało i rzadko o niej wspomina!

Wiktor Hugo uwielbia dzieci; — myli się i błądzi; wiek dziecinny bywa nieraz bardziej okrutny, nieubłagany, srogi i chciwy nawet, niż starość.

Byłem bardzo szczęśliwy, miałem wielką siłę i powodzenie; sztukmistrze dotrzymywali słowa i nauczyli mnie wszystkiego. Wkrótce prześcignąłem moich mistrzów zręcznością i zuchwałą odwagą; stałem się zaszczytem trupy. Letnią porą wędrowaliśmy po obszernych równinach Lombardji i wysokich górach Toskanji; w zimie dawaliśmy przedstawienia w Rzymie, Neapolu, Palermo; szliśmy tam, gdzie słońce świeciło jasno i lud śmiał się ochotnie.

Czasem wspomniałem o matce; posyłałem jej pieniądze i podarki. Dreszcz mię lekki przejmował na widok Madonny, gdyż nasze matki, gdy dziećmi jesteśmy, uśmiechają się jak Madonny. Myślałem o matce, lecz nigdy nie szedłem do domu.

Byłem Pipistrello — Pipistrello szermierz. Byłem młodym Herkulesem w błyszczącej tunice, zamiast lwiej skóry; — o tysiąc lat — o dziesięć tysięcy mil dalej — od chłopaka z Orte. Bóg jest sprawiedliwy!

Słusznie umieram na tem miejscu, gdyż w szczęśliwe lata zapomniałem o matce.

Żyłem w słonecznym blasku, wśród tłumu, pośród wrażliwej publiczności włoskiej — z pieśnią, podskokiem, tryumfem i zapomniałem o stęsknionej matce, która została w starej izdebce nad Tybrem, zupełnie samotna, gdyż babka od dawna już nie żyła.

Żem popełnił zabójstwo — tego nie żałuję — to nie zbrodnia. Jeślibym miał zacząć żyć na nowo, zrobilbym toż samo. Tak, bez miłosierdzia i namysłu zamordowałbym raz jeszcze. Ale matka — sama jedna, tyle lat — i mówią, że zwarjowała teraz. Oto moja zbrodnia.

Byłem wysokim, silnym i odważnym młodzieńcem; kobiety mówiły, żem przystojny. Wiodłem próżniacze i wesołe życie, wiecznie w ruchu i gwarze. Takim był mój ojciec przed laty — wszyscy mi to powtarzali.

Tylko, że lubiałem zajrzeć do książki, a ojciec nigdy żadnej nie brał do ręki i przez pamięć wiary matczynej, odkrywałem głowę przechodząc koło kościoła, lub na widok świętego obrazu, co też nie było zwyczajem ojca. W owej porze miewałem sporo pieniędzy, sporo przynajmniej, jak dla sztukmistrza; lecz wydawałem je równie lekko, jak mi przychodziły. Nie byłem nigdy zbrodniarzem, ani graczem lub pijakiem z profesji, tylko pieniądze nie trzymały mi się w kieszeni, gdyż lubiłem zabawę i suto płaciłem za nią.

Dobre było moje życie, to wiem na pewno; gdyż co do życia bogaczów i szlachty, nie wiem, jak ono wygląda, lecz pewien jestem, że musi być cięższe i smutniejsze, niż było moje.

Tak mało człowiekowi potrzeba: powietrza i światła, trochę czerwonego wina i ciepłego powiewu wiatru, garść kukurydzy lub winogron, stara gitara i nisza, w którejby się przespać można, gdzieś w pobliżu fontanny szemrzącej cicho i spływającej po mchu i marmurze — to wystarcza, to już szczęście we Włoszech. Nietrudno zdobyć sobie to wszystko; przynajmniej za moich czasów łatwo o to było. Nigdy nie doznałem prawdziwej biedy, lecz jeśli sakiewka moja bywała pełną, częstowałem całą trupę i połowę miasta, a wesołość i śmiechy trwały aż do rana.

Byłem zawsze tylko Pipistrello kuglarz, skoczek, szermierz, który nie mógł ustać na miejscu, a tak mu łatwo było unieść od ziemi młodego wołu, jak innym dziecko. Bezwątpienia, życie takie, mędrcy nazwą szalonem, święci bezbożnem, lecz jam się do niego urodził, inne niemożebnem było dla mnie. A gdy nie brakło pieniędzy, jeśli można było ulżyć jakiemu strapionemu sercu, lub pokrzepić mizernego chłopca sutą wieczerzą, albo też uszczęśliwić małe dziecko garścią miedziaków, albo zbłąkanemu psu odnaleść pana i posłanie ze słomy, lub zapracowanemu mułowi dopomódz do wydźwignięcia ciężaru — tem ci lepiej; sztukmistrz chętnie spieszył z pomocą, a potem jeszcze mu się smaczniej spało.

Gdy umarł stary towarzysz mego ojca, trupa się rozpadła, gdyż synowie kłócili się o dział po ojcu, a żaden ustąpić nie chciał. Od swarów przyszło do bójek. We Włoszech ludzie tak łatwo chwytają się noża, jak dziecię piersi matczynej.

Zmęczony ciągłą niezgodą, porzuciłem ich i odłączyłem się zupełnie. Utworzyłem niewielką trupę własną, z samej młodzieży złożoną i z nią bawiłem lud od morza do morza. Byliśmy właśnie na południu; cieszyłem się pomiędzy publicznością wzięciem ogromnem. Skończywszy ekwilibrystyczne sztuki, śpiewałem i improwizowałem przy

mandolinie i według mej woli musieli ludzie śmiać się, lub płakać. Mówią, że mógłbym był zostać znakomitym aktorem, lub śpiewakiem. Być może; nie byłem jednak nigdy niczem więcej, tylko Pipistrellem, kuglarzem. Świeże powietrze, wędrowne i swobodne życie, igrzyska, w których się odznaczałem zręcznością i siłą, były mi nazbyt potrzebne, abym się mógł dać nakłonić do zamknięcia w teatrze, z dachem nad głową i zapalonemi lampami.

Pewnego dnia, gdyśmy szli gościńcem kurzem pokrytym w Kalabryi, skwarząc się na czerwcowem słońcu, wśród zapylonych aloesów i pól kukurudzy, ogarnął mnie nagły wyrzut sumienia i przyszła mi na myśl matka, samiutka jedna w Orte.

Myślałem o niej nieraz, lecz wstyd mi było zajrzeć jej w oczy; — opuściłem ją tak niegodnie. W owym dniu wyrzuty sumienia silniejsze były od wstydu. Byłem naczelnikiem mojej małej trupy, odezwałem się więc: „Gorąco tu — pójdziemy drogą do Rzymu nad Tybrem;“ — i poszliśmy.

Nie przestąpiłem nigdy granic mego kraju; wyobrażam sobie, jak tam być musi smutno i ciemno za górami. Znam gościńce i ścieżki w górach włoskich, jak obywatel zna ulice i zakątki swego miasta. Zarabialiśmy i bawili się jednocześnie w ciągu podróży, wędrując przez Basilikatę, Kampanię i Latium, aż wreszcie byliśmy już bardzo blizko. Ujrzałem szare, ciemne, stare Orte, leżące nad wybrzeżem rzeki.

Nagle zabiło mi serce, podgięły się kolana i pomyślałem: „a jeśli ona nie żyje?“

(C. d. n.)

Kronika zagraniczna.

Kanał Panama, dzięki niezmordowanej energji Lessepsa, wkrótce już przestanie być tylko projektem. Powołaniem W. Thompsona, sekretarza marynarki Stanów Zjednoczonych; na prezesa komitetu budowy kanału, Lesseps dowiódł wielkiej zręczności dyplomatycznej, gdyż od razu usunął wszelkie obawy, i przeszkody ze strony rządu Stanów Zjednoczonych; podpisy zaś na akcje pokryły prawie w trójnasób kapitał żądany, co świadczy o zdolnościach finansowych projektodawcy. Sprawa kanału postąpiła w skutek obu tych kroków tak daleko, że już dnia 6-go b. m. Lesseps wyprawił z Hawru, pierwszy oddział ekspedycyjny inżynierów do Panama, dla rozpoczęcia z całą energją robót przygotowawczych. Drugi oddział ekspedycyjny ma odpłynąć w połowie lutego.

Największem miastem fabrycznem w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej, jest według *Times*, Filadelfja, która posiada obecnie 9.050 zakładów fabrycznych, w których zatrudnionych jest 197,964 robotników i urzędników. Kapitał zakładowy tych fabryk wynosi 186,686.934 dolarów. W ostatnim roku fabryki filadelfijskie wypłaciły robotnikom przeszło 63 milionów. A zużyty lub przerobiony materjał przedstawiał 202,506.645 dolarów, wyroby ich zaś miały wartość 322,984.461 dolarów, tak, że czysty zysk fabrykantów wynosił około 57 milionów dolarów, czyli trzydziesty procent od włożonego kapitału.

Śmierć sułtanki. W końcu listopada z. r. zmarła żona sułtana marokańskiego, w 34-tym roku życia; w haremie przepędziła lat 20, weszła więc tam mając zaledwie lat czternaście. Z rozkazu monarchy pochowano ją w tym samym kiosku, gdzie życie zakończyła. Ośmiu dostojników dworskich wykopało jej grób, do którego złożono zwłoki owinięte w kosztowny szal, a zarazem i wszystkie jej szaty, żeby się nikomu po tak znakomitej osobie nie dostały. Wszystkie też jej kosztowności pokruszono nad otwartym grobem, a odłamy rozdano pomiędzy ubogich. Po skończonym pogrzebie, porozbijano także w domu wszystkie sprzęty należące do nieboszczki, a pokoje przez nią zamieszkiwane, zamknięto.

Astronomja straciła jedne z gwiazd, nie z tych wprawdzie, które Stwórca posiał na firmamencie niebieskim, ale gwiazdę nauki, która niespożytym blaskiem przyświecała na widnokręgu astronomicznej wiedzy. Umarł znakomity astronom amerykański James C. Watson, dyrektor obserwatorjum w Ann Arbor, któremu umiejętność zawdzięcza odkrycie 22 astreoid, czyli mniejszych planet. Watson był dowódcą amerykańskiej wyprawy naukowej, wydelegowanej do obserwowania przejścia Wenery przez słońce.

Z Paryża.

W akademji francuzkiej mieliśmy w tych dniach nową recepcję. P. Caro przyjmował do grona czterdziestu nieśmiertelnych p. Maxima du Camp.

Wielkoświatowe damy, które uczęszczają na odczyty p. Caro i czytają Schoppenhauera pomiędzy *five o'clock tea*, a przedstawieniem w operze, lub balem kostiumowym, wpadły na myśl założenia dobroczynnej instytucji, nie pieniędzmi, ale ich własną pracą. Rzecz rzadka i uznania godna. Damy wyżej rzeczone, założyły stowarzyszenie wsparcia dla wdów i sierot po oficerach armji i marynarki, i sądownikach. Cena 12 fr. rocznie. Dla powiększenia dochodów stowarzyszenia, otwartym został sklep w najbardziej eleganckiej części Paryża, na bulwarze Hausman, przy operze, i tam piękne damy sprzedają najrozmaitsze fatałaszki i wykwintne sprzęciki i rupiecie. Ponieważ jest to sklep prawdziwy, gdzie ceny są zwyczajne, i ponieważ za kantorem stoją wybrylantowane księżniczki i marszałkowe, zatem publiczności masa, i interesa idą świetnie. Idzie jedynie o to, czy płeć piękna będzie miała potrzebną do tego przedsięwzięcia wytrwałość; przy jej posiadaniu rezultat jego dodatni — pewny.

Zmarła świeżo pani Thiers należała do innej kategoryi niewiast. Poszedłszy za mąż w 15-m roku, i przeżywszy blisko pół wieku przy boku jednego z najznakomitszych ludzi naszego stulecia, pani Thiers, była za życia swego męża żoną wzorową, pełną poświęcenia i posiadającą wszystkie przymioty domowe. Gdy tok zdarzeń i wola narodu powołała pana Thiersa na najwyższe dostojeństwo krajowe, było zadziwiającem, jaki takt obrała ta drobna mieszczaneczka. Wprawdzie wielki świat drwinkował sobie z tej oszczędnej kobiety, która dbała o zachowanie w całości swych tuzinów serwet i ręczników, ale koncepta te przebrzmiewały bez echa; sumienie narodu nad modne strojnisie wolało widzieć na szczycie skromną, ale uczciwą kobietę. Po śmierci męża, pani Thiers całkowicie poświęciła się czci jego pamięci, i cała jej istność, skupiła się około zapewnienia mu nieśmiertelności. Ona zajmowała się stawianiem jego posągów, ona odpisywała na wszystkie listy, podania, adresy; pod jej dyrekcją komitet wydawał mowy polityczne p. Thiersa i przygotowywał niesłychanie ciekawą jego korespondencję ze wszelkiemi znakomitościami. Gorączkowa, nieustanna ta działalność złamała jej wątły organizm i poniosła z sobą do grobu zacne i nieskażone wspomnienie. Otwarcie jej testamentu będzie dla Paryża miłą niespodzianką, gdyż pałac Thiersa na placu St. Georges i liczne, a cenne artystyczne kolekcje mają wejść w skład muzeum miejskiego, noszącego nazwę ofiarodawców.

W poważnej nucie tego miesiąca, wesoły epizod stanowi walka bilardowa, stoczona pomiędzy najlepszym graczem francuzkim p. Vigneaux a najlepszym amerykańskim p. Slossow. Bój ten pomiędzy dwoma markierami, przybrał powoli homeryczne rozmiary. Zakład wynosił 10.000 fr. i miał trwać przez szereg dni aż dopóki pierwszy z grających nie zrobi 3.000 punktów; 600 punktów było maximum przeznaczonem na każde posiedzenie. Zakład rozgrywał się w Grand Hotel wobec licznej a wyborowej publiczności, która na wagę złota kupowała swe miejsca. Amerykanin, który grał na własnym bilardzie, okazał się grubiańskim i nieokrzesanym, francuz był aroganckim i tryskającym *blagą*. Amerykanie podtrzymywali swego rodaka nietylko okrzykami i oklaskami, ale i zakładami, których cyfry przybierały niedorzeczne rozmiary. Patrjotyzm francuzki, wmieszał się także w tę sprawę i Paryż byłby uważał za plamę na swym honorze, gdyby Vigneaux był przegrał. Pp. Gambetta i Grevy przyglądali się przez szyby sąsiedniego salonu perypecjom tej gry. Czwartego wieczora p. Vigneaux wygrał, zostawiając amerykanina o 46 punktów w tyle. Kilkutysięczny tłum sprawił owację zwycięzcy. Są jeszcze piękne dni dla szowinizmu francuzkiego!

Krytyka, Nowiny literackie i artystyczne.

Czytamy w „Wieku“:

„Nowy Słownik lekarski“ ma być wkrótce wydany, w którym zwrócono szczególną uwagę na zastąpienie wyrazów cudzoziemskich czysto polskimi, i co jest mniej pożądane, wyrazów dziś używanych i utartych, dawniej używanymi i dla nas zupełnie już niezrozumiałymi.

Ośmielamy się zwrócić uwagę autorów Słownika na warunki, jakie przy zamierzonej pracy koniecznie zachować potrzeba, i czynimy to tem śmielej, że uznajemy zasługę ludzi pracujących w tym kierunku, i że chodzi nam o to tylko, aby owoc tej pracy był smaczny i do społecznego użycia nadawał się.

Konieczną jest rzeczą, aby do grona układających nowy słownik, zaprosznni zostali ludzie specjalnie nad językiem naszym pracujący, z jego naturą i własnościami obeznani i posiadający smak w tym kierunku wysoko wykształcony. Ich wpływ tylko nowo wprowadzonym wyrazom powodzenie zapewnić może; ukute wyrazy, jeżeli, albo smak obrażają, albo naturze języka są przeciwne, w użycie nie wejdą — odrzuci je zwyczaj narodowy. Autorom słownika i wogóle twórcom nowych wyrazów, chodzi o zbogacenie rodzinnego języka, niechże bogactwo to czerpią z właściwej skarbnicy.

Nie dosyć jest utworzyć wyraz, potrzeba z nim jeszcze odbyć szereg odmian, a głównie przypatrzyć się, jak wyglądać będą wyrazy od niego pochodzące. I tak, nieżyt mógłby zastąpić katar, ale jak z niego uformować wyrazy, któreby zastąpiły zakatarzenie, zakatarzony, kataralny i t. p.?

Gdyby lekarze tworzyli wyrazy wyłącznie dla siebie, uważać by się mogli za wyłącznych panów placu, na którym pracują, ale tak nie jest. Nowo utworzony wyraz musi przejść do piśmiennictwa, a więc bogacić, albo koszlawić język, przejść też musi i do użycia powszechnego; przy porozumieniu się lekarza z chorym, przy opisie chorób, przy wydawanych instrukcjach, lekarz i chory muszą używać jednych i tych samych wyrazów i wyrażeń.

Odpowiedzi od Redakcji i Administracji.

Pannie J. Z. we Lwowie. Wiersz pani p. t.: „Do . . . . .“ zbyt osobistego dotyka stosunku, a przy tem forma nie wszędzie równa, aby mógł być drukowany — niech to jednak panią nie zraża, bo znać w nim talent. Prosimy przysłać co innego.

P. K. C. w W. Nie znamy tego pana i nie chcemy go znać.

P. L. M. w G. Aby p. Henryk Kieszkowski zupełnie opuścił *Tow. ubezp. krakowskie*, jest niezgodną z prawdą — wiadomo tylko, że wyjechał pod cieplejsze niebo dla poratowania nadwątlonego zdrowia, które sterał w pracy i na usługach powyższego Towarzystwa...

P. Jednemu z prenumeratorów w Samborze. Musielibyśmy znać wszystkie szczegóły dotyczące sprawy nie przyjęcia p. K. do tamtejszego kasyna, oraz nazwisko całkowite pokrzywdzonego, jak nie mniej autora, którýby zechciał wystąpić w obronie pana K. — nadesłane zaś przez pana kilkanaście wierszy w tej sprawie i to bezimiennie, nie mają żadnego znaczenia.

Rozmaitości.

Konserwy ziemniaków. W Kalifornji pomysłowy jakiś wynalazca skonstruował maszynę do prasowania i suszenia kartofli, które w tym stanie nie tracą smaku i przez całe lato dadzą się przechowywać. Zastosowanie tego wynalazku nie dało na siebie długo czekać w Ameryce. Już w roku zeszłym osiągnięto konserwami kartoflanemi znaczne zyski, wysyłając je do Liwerpoolu; w roku bieżącym zaś, gospodarze amerykańscy podobno jeszcze zamierzają zabrać się do tego na większą skalę. Co byłoby pożądanem.

Od Redakcji i Administracji.

Rozpoczeliśmy w „Dzienniku dla Wszystkich“ druk większej, oryginalnej powieści *Anieli Milewskiej* pod tytułem:

Sieroce dzieje,

obok mniejszych tłómaczonych, które w ciągu pierwszego kwartału zamieścimy.

Obecnie drukujemy obok oryginalnej, drugą tłomaczoną powieść p. t. „Pipistrello“, Ouidy, sławnej autorki angielskiej.

W rozpoczynającym się *czwartym* roczniku wydawnictwa, „Dziennik dla Wszystkich“, wychodzić będzie w takim samym kierunku, starając się usilnie rozmaitością i obfitością treści, zadowolnić czytelników swoich.

Prosimy naszych prenumeratorów, aby raczyli odnowić prenumeratę. Zalegających w prenumeracie, administracja uprzejmie prosi, aby uregulowali takową.

Przypominamy, że „Album Wojska Polskiego“, które wychodzi staraniem i nakładem Redakcji „Dziennika dla Wszystkich“, już się rozseła prenumeratorom. Kto więc z szanownych prenumeratorów „Dziennika dla Wszystkich“ życzy sobie otrzymywać „Album“, raczy nadesłać odpowiednią prenumeratę. Warunki prenumeraty „Albumu Wojska Polskiego“, jak również bliższe szczegóły o tem wydawnictwie, znajdują się pomiędzy ogłoszeniami niniejszego numeru. Tak „Dziennik dla Wszystkich,“ jak i „Album Wojska polskiego“ prenumerować można w każdej chwili, bez względu na zaczęty miesiąc, lub kwartał. Zaległe numera „Dziennika“, lub wyszłe zeszyty „Albumu,“ natychmiast się wysełają.

Pieniądze prenumeracyjne, tak na „Dziennik dla Wszystkich“, jak na „Album Wojska Polskiego“ przesełać należy w listach rekomendowanych, lub *najdogodniej przekazami pocztowymi*, pod adresem:

Administracja „Dziennika dla Wszystkich“ we Lwowie, ulica Rzeźbiarska, Nr. 1.

Przewodnik lwowski.

Banki i Towarzystwa finansowe.

C. k. uprzyw. galicyjski **Zakład kredytowy włościański**, ul. Jagielońska l. 14 w własnym gmachu. Wydaje 6% asygnaty kasowe za 30-dniowem wypowiedzeniem, tudzież sprzedaje 6% listy zastawne, które mają nadto udział w dywidendzie i mogą służyć na kaucye. Bióra centralne otwarte od godz. 9 z rana do 3 po południu.

Galicyjskie **Towarz. kredytowe ziemskie**, ul. Karola-Ludwika l. 1. Godziny otwarte w kasie od godz. 9—1. Dyrekcji od 8—12.

Galicyjski **Bank kredytowy**, ul. Jagiellońska, l. 3, w domu własnym. Wydaje asygnaty kasowe 4% z 14-dniowem, 5% z 30-dniowem, 5½% z 90-dniowem wypowiedzeniem. Przyjmuje wkładki książeczkowe na 6%.

C. k. uprz. **Galic. akcyjny Bank hipoteczny**, plac Marjacki l. 15, we własnym gmachu. Wydaje asygnacje dasowe 5% z 90-dniowem, 4½ z 60-kniowem, 4% z 30-dniowem wypowiedzeniem, tudzież kupuje i sprzedaje wszelkie papiery wartościowe i monety; 6% listy hypoteczne służące do lokowania kapitałów funduszowych, pupilarnych i wszelkiego rodzaju akcyj, można najkorzystniej nabyć, lub sprzedać w tymże Banku.

Bank ojczysty dla ubezpieczeń na życie. Reprezentacja we Lwowie plac Marjacki, l. 10. Przyjmuje wnioski na ubezpieczenie ludzkie, we wszystkich kombinacjach — oraz i na ubezpieczenia małe tak zwane pogrzebowe, zacząwszy złr. od 50, które wypłacają się w 24 godzin po śmierci ubezpieczonego.

Zakład ogólno rolniczo - kredytowy dla Galicji i Bukowiny, ul. Ormiańska l. 2. Towarzystwo zarejestrowane nieograniczoną poręką, kupuje za mierną prowizję, niezapadłe jeszcze kupony papierów wartościowych państwowych, obligacyj indemnizacyjnych, przyjmuje wkładki na książeczki oszczędności z oprocentowaniem 6% na rachunek bieżący, 7% z trzechmiesięcznem wypowiedzeniem. Udziela pożyczki. i zaliczki, eskontuje weksle.

Sokal i Lilien. ul. Hetmańska l. 8. Dostarcza nowe arkusze kuponowe do akcyj kolei Rudolfa za mierną prowizją, tudzież kupuje i sprzedaje wszelkie papiery wartościowe, i monety pod najkorzystniejszemi warunkami. Zlecenia z prowincji uskuteczniają się bezzwłocznie.

A. Ch. Werfel, ul. Hetmańska l. 6. Dostarcza nowe arkusze kuponowe do akcyj kolei Rudolfa za mierną prowizją, tudzież kupuje i sprzedaje wszelkie papiery wartościowe, i monety pod najkorzystniejszymi warunkami. Zlecenia z prowincji uskuteczniają się bezzwłocznie.

Zakłady szewckie.

Piotr Balkoski, ul. Wekslarska l. 5. Poleca obficie zaopatrzony magazyn obuwia męzkiego, damskiego i dziecinnego z najlepszego materjału krajowego i zagranicznego, wykonanie staranne podług ostatniej mody. Wszelkie zamówienia uskutecznia natychmiast po umiarkowanej cenie.

Zakłady introligatorskie.

Ludwik Wierzbicki. ul. Halicka l. 52. Zakład galanteryjno-introligatorski i fabryka wgłębianych kartonów (Passepartouts), poleca swoje wyroby jako to: dyplomy, albumy, adresa, od pojedynczych do najwspanialszych, także oprawy książek od szkolnych do najozdobniejszych i wszelkie galanteryjne roboty, także poleca kartony ozdobne, tak na pojedyncze fotografje i obrazy jako i na grupy w różnych gatunkach i rozmiarach.

Magazyny optyczne.

Maurycy Boscowitz, optyk, plac Marjacki l. 7. Skład towarów optycznych i narzędzi mierniczych. Urządzanie dzwonków telegraficznych, konduktorów piorunowych i reperację wykonywa po najtańszych cenach.

Lekarze.

Dr. Edward Madejski. we Lwowie ul. Kopernika l. 13. Zakład ortopedyczny. Przyjmuje się ułomne, lub ułomnością zagrożone dzieci, jak: z skrzywieniem kości pacierzowej, z krzywemi nogami, kontrakturą wszelkiego rodzaju — do wyleczenia za pomocą gimnastyki leczniczej i przyrządów ortopedycznych. W tym zakładzie urządzone są także dwa pokoje z wszelkiemi wygodami i z łazienką na wzór zagranicznych maison de sante dla chorych, którzy dla dłuższej kuracji do Lwowa zjeżdżają, pozostawiając chorym wybór lekarza. Bliższych szczegółów udziela właściciel i dyrektor zakładu ustnie, lub pisemnie, pod powyżej podanym adresem.

Wyroby rzeźbiarskie z kamienia drzewa i gipsu.

Tadeusz Sokulski. ul. Mickiewicza l. 6, Medal zasługi z wystawy krajowej we Lwowie 1877. Rzeźby i ornamenta z drzewa, konzole, ramy, i rozmaite rzeźbione sprzęty salonowe i kościelne, ołtarze, cymborja, peretrony wraz ze złoceniem, różne modele do odlewów wykonuje z największą akuratnością.

Biura wywiadowcze.

Jan Rudolf Kasparek. Bióro uprawnionej Ajencji publicznej, ul. Chorąszczyzna l. 11. uprawniony ajent publiczny otworzył biuro wywiadowcze w zakres którego wchodzą: ustne i pisemne wszelkiego rodzaju informacje, załatwianie interesów w sprawach podatkowych, należytościach prawnych, pożyczki hipoteczne, kupno i sprzedaż dóbr etc. etc.

Handel korali.

Romuald Turasiewicz, ul. Akademicka l. 22. Korale rznięte, neapolitańskie toczone, oraz biżuterje koralowe w wielkim wyborze po cenach stałych.

Architekci.

Leopold Warchałowski budowniczy i zaprzysiężony rzeczoznawca upoważniony przez c. k. władze rządowe przyjmuje i wykonuje wszelkie roboty — murarskie, ciesielskie stolarskie i kamieniarskie i inne w zakres budownictwa wchodzące, wykonuje plany i kosztorysa — przyjmuje prowadzenie robót budowniczych tak w mieście Lwowie jakoteż i na prowincji. Oraz poleca swój warstat wyrobu więźb dachowych, schodów i wszelkich innych robót, ręcząc za doborowy zdrowy materjał. Zamówienia, przyjmuje się przy placu Kapitulnym Nr. 2, I. piętro — we Lwowie.

OGŁOSZENIA.

Album Wojska Polskiego

Wychodzi staraniem i nakładem „Dziennika dla Wszystkich“ czasopisma illustrowanego we Lwowie

Album Wojska Polskiego wychodzi w dwunastu zeszytach na pięknym grubym papierze w wielkim formacie, obejmuje wizerunki wszystkich niższych, wyższych i najwyższych stopni wszelkiej broni całkowitej armji polskiej z przed 1831 roku. Wizerunki będą wykonane **kolorami** w ten sposób aby każda postać przedstawiała najdokładniej uniform. Ryciny przedstawiają pojedyńcze figury, grupy, wojsko w boju, w mustrze, na czatach, w tyralierce, w ataku piechoty, kawalerji, artyleryi i t. p. Ryciny kolorowane są ręcznie na wzór albumu Matejki — posiadają zatem prawdziwą wartość artystyczną. „Album Wojska Polskiego“ stanowi żywe wspomnienie bohaterskiej armji naszej i znajdować się powinno w każdej rodzinie polskiej. Pierwszy zeszyt już się rozseła prenumeratorom. Drugi wyjdzie w lutym 1881 r. następne zeszyty wychodzić będą w krótkich przerwach. Całe „Album“ zawierać będzie kilkadziesiąt wielkich rycin. Natychmiast po skończeniu się wydawnictwa cena „Albumu“ *znacznie podwyższoną* zostanie. „Album“ wychodzi w trzech serjach. Każda serja zaś obejmuje cztery zeszyty. Prenumerata na pierwszą serję „Albumu Wojska Polskiego“ wynosi w Galicji i w całej Austrji *4 zł.*, w Poznańskiem w Prusach i Niemczech *8 marek*, we Francji innych krajach i w Ameryce *10 franków*. Całkowite „Album“ t. j. wszystkie trzy serje w Galicji i Austrji wynosi *12 zł. w. a.* w Poznańskiem Prusach i Niemczech *24 marek*, we Francji, innych krajach i w Ameryce *30 franków*. Prenumeratę można przesyłać na wszystkie trzy serje, na dwie serje lub na jedną serję. Zeszyty wysełają się pocztą osobno opakowane. Pieniądze prenumeracyjne należy wysyłać w listach rekomendowanych, lub najdogodniej przekazami pocztowymi *do Administracyi „Dziennika dla Wszystkich“* ul. Rzeźbiarska nr. 1. a. we Lwowie.

Przenumeratę można przesełać zawsze. — Wyszłe już zeszyty odsełają się natychmiast.

Redakcya „Dziennika dla Wszystkich“
we Lwowie.

K. Waligórski. *Skład i pracownia sukien męzkich* we Lwowie, ul. Teatralna l. 10. poleca wielki wybór gotowych sukień oraz materyj z najpierwszych fabryk krajowych i zagranicznych sprowadzane. Wszelkie zamówienia uskutecznia podług najnowszej mody i umiarkowanej ceniu, przytem zaręcza, że dołoży wszelkich starań by we wszystkiem zadowolnić Szanowną Publiczność. (653-6-6)

Poleca Szan. Publiczności:
NAJLEPSZA
Herbata
Wyłączny handel herbaty
rosyjskiej
IZYDOR WÖHL we Lwowie,
ul. Sykstuska l. 6.
Konkurując przez najskrupulatniejszą rzetelność.
(633-?-4)

Fedunio i Schramm polecają w najnowsze maszyny i przyrządy zaopatrzony zakład introligatorski i galanteryjny w Krakowie Rynek główny l. 16 w podwórzu na dole. Przyjmują najozdobniejsze i najpojedyńczsze oprawy książek i wszelkie inne roboty w zakres introligatorski wchodzące i wykonuja takowe po cenach najniższych. (548-12-12)

Ignacy Matusiński w Krakowie, Rynek główny 18. Poleca swój nowo założony handel galanteryjny najobficiej zaopatrzony w towary w zakres tego handlu wchodzące, a mianowicie: Wszelkie przybory do krawieczczyzny. Ogromny wybór artykułów do toalety męzkiej i damskiej zawsze świeże i modne. Skład parfumeryj i mydeł; oraz *największy skład zabawek dziecinnych.* — Ceny stałe umiarkowane tak, że konkurencyę robię wszystkim izraelitom. Zamówienia zamiejscowe uskuteczniam „pocztą odwrotną,“ nie licząc za opakowanie. (639-12-6)

„CONCORDIA“

Isze przedsiębiorstwo pogrzeb. lwowsk.

F. OPUCHLAK

zorganizowane podług wszelkich wymagań, jakich powaga tego rodzaju obrządków wymaga — poleca swoją usługę.

Ma zawsze na składzie wszelkie przybory i zajmuje się zupełnem urządzaniem pogrzebów.

Ceny najprzystępniejsze — podzielone na klasy.

Doskonałość **trumien metalowych** znaną jest powszechnie, gdyż takowe sprowadzone są z najpierwszych renomowanych fabryk, oraz wszelkiego rodzaju trumien drewnianych. — Zamówienia uskutecznia natychmiast.

Jak „**Concordia**“ spełnia zlecenia, przekonywają o tem liczne piśmienne podziękowania, które w każdej chwili można przejrzeć. (628-4-2)

Lwów, plac Katedralny l. 3.

Nowo urządzony handel pod firmą K. Dominikowski et J. Ponurski w Przemyślu, obok hotelu przemyskiego, poleca po cenach najprzystępniejszych wszelkie artykuły wchodzące w zakres handlu kolonialnego, oraz wina austrjackie, węgierskie, włoskie, francuskie, reńskie, hiszpańskie i szampańskie, sprowadzone z najlepszych domów handlowych, ręcząc za dobroć takowych. Łaskawe zamówienia z prowincji uskutecznia się szybko i sumiennie. (542-?-4)

Niniejszem polecamy szanownym P. T. Panom wydziałowym, komitetowym i aranżerom balów na karnawał: porządki tańców dla dam i panów, ordery kotylionowe, bukieciki kotylionowe, setka po: 8, 9, 10, 12 do 15 zł. tury do kotyliona, petardy, maski. Wszelkie zamówienia listowne, lub telegraficzne z prowincji, uskuteczniamy odwrotną pocztą. — Z szacunkiem
Walenty Stachiewicz i Syn.
(692-8-2)

Ważne dla pp. uczniów i uczennic. Handel papieru i przyborów szkolnych i kancelaryjnych **M. Schreiera** w domu p. Kieslera w hotelu pod „Koleją żelazną“ w Stanisławowie, utrzymuje na składzie wymienione artykuły w wielkim wyborze i najlepszych gatunkach i sprzedaje takowe po cenach najtańszych. (684-3-3)

Ignacy Gorecki fryzjer z Warszawy, urządził sklep fryzjersko-perukarski, skład perfumerji i wszelkich artykułów toaletowych, dla panów salon do strzyżenia, fryzowania i golenia. Dla dam wszelkie wyroby z włosów. Wypożyczalnia wszelkich fryzur na bale i t. p. Przyjmuje zamówienia czesania dam, uskuteczniając modnie i gustownie. W Stanisławowie przy ul. Tyśmienickiej. W Stryju ul. Gołuchowskiego. (682-3-3)

Skład wina. Przesiedliwszy się przed 12 laty z Pesztu do Kołomyji, założyłem tu wielki skład najwyborniejszych osobiście przezemnie od najznakomitszych właścicieli winnic sprowadzanych win francuskich, hiszpańskich, nadreńskich, węgierskich i austrjackich. Cenniki rozsełam na żądanie bezpłatnie. **Edward Brüller z Pesztu** właściciel składu win w Kołomyi. (636-9-8)

J. Stadtfeld, ulica Trybunalska Nr. 9, poleca wszelkie rozolisy najlepszego wyrobu przytem posiada wyborną kawę, cukier, rum, i ect. Wszelkie zamówienia uskutecznia szybko po miernej cenie, przytem posiada swoją własną fabrykę rozolisów i spirytusów na Zniesieniu pod Lwowem. (665-4-4)

ŁAŹNIA RZYMSKA w Krakowie, przy ulicy św. Sebastyana, obok plantacyj. Nr. 68. Dzieln. VII. Cały Zakład należycie wentylowany, ogrzewany jest parą i zaopatrzony w wodociągi, wygodne sprzęty, wyćwiczoną i karną służbę. Wytworna bielizna kąpielowa do użytku Szanownych gości. Fryzjer i operator nagniotków w Zakładzie. Zakład wydaje także wszelkiego rodzaju kąpiele lekarskie. Cena kąpiel: Kąpiel rzymska zupełna dla Dam lub Panów, z bielizną kąpielowa, od osoby 45 ct Kąpiel wannowa z zupełną bielizna, dla jednej osoby 50 ct. Kąpiel wannowa z basenem dla Dam wyznania Mojżeszowego 60 ct. Przez cały dzień piątkowy oraz w niedzielę po południu cena kąpieli rzymskiej zniżona do 30 ct. (700-?-1)

Towarzystwo

WZAJEMNEGO KREDYTU

w Krakowie (690-3-1)

uwiadamia członków swych, że od dnia

1. stycznia 1881

zniża stopę procentową od eskontu weksli na

6 procent.

Kraków, 31. grudnia 1880.

Dyrekcya.

Skład papieru, książek, obrazów i przyborów szkolnych **J. Engelharda** w Stryju w rynku. Uprasza o łaskawe względy. (683-3-3)

A. Paulo malarz szyldów i łakiernik, przy ul. Slusarskiej l. 3. na Chorążczyźnie poleca swój zakład malowania szyldów i napisów. Ceny umiarkowane. (685-4-3)

Obrazki Swiętych. Największy skład. Obrazy olejne do chorągwi i ołtarzy, papiery różne do pisania i koperty, księgi handlowe, druki gospodarcze i kościelne, albumy, bilety wizytowe, monogramy i kotyliony.

Kutrzeba et Murczyński
w Krakowie.

Filip Waldmann handel towarów korzennych, win krajowych i zagranicznych, likworów, piwa i porteru, herbaty chińskiej, rumu bremskiego, Pokój śniadalny. We Lwowie, ul. Halicka liczba 11. (677-4-3)

W. Wojciechowski, jubiler w Krakowie ulica Szewska l. 222, poleca swój skład wyrobów złotych po cenach umiarkowanych. Przyjmuje zamówienia, reperacje i zamiany. (695-12-1)

W. Kosydarski. Skład i pracownia wyrobów blacharskich tudzież wszelkiego rodzaju artykułów w zakres ten wchodzących, w Krakowie, ulica Szewska l. 228. Poleca się, szczególnie, jako biegły w pokrywaniu dachów, urządzaniu wodociągów, zakładaniu sygnałów elektrycznych, telefonów, po domach prywatnych i hotelach. Zamówienia z prowincji uskutecznia, jak najspieszniej, ręcząc za dokładną robotę. (697-12-1)

Nowa Mleczarnia

w Rynku l. 28, obok handlu p. Nadwodzkiego we Lwowie, poleca wyborny nabiał, jako to: masło najprzedniejsze, śmietankę, śmietanę, mleko słodkie i kwaśne, podśmietanie, maślankę, ser i t. d. Sprzedaje się także na szklanki: kawa wiejska 10 ct., podśmietanie 5 ct., mleko 3 ct. i t. d. Doskonałe mleko świeże. Chleb Grahama i inne pieczywo. Abonament z dostawą. (693-6-1)

W. E. Różycki dawniej R. Wakarecy następca w Krakowie, Rynek l. 28, Pałac spiski, poleca swój specjalny magazyn strojów damskich i koronek. Ceny nader umiarkowane. (698-12-1)

Szymański i Gregorowicz w Czerniowcach rynek. Poleca na sezon jesienny i zimowy towary najmodniejsze z fabryk krajowych i zagranicznych. Sukna i korty w najlepszych gatunkach — przytem zamówienia można w przeciągu 24 godzin odbierać. Na żądanie próbki franko posyłają. (620-10-10)

Odpowiedzialny redaktor i odpowiedzialny wydawca: Jan Chechliński.

Z drukarni K. Pillera.